Cena egzemplarza wynosi
Mkp.

Nr. 1.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

ROK XXV.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misjonarzy.
1923.

TREŚĆ ZESZYTU 1.

KRONIKA.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

Setna rocznica Domu Przemienienia Pańskiego Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu.

Z dniem 1 stycznia 1923 r. upływa sto lat istnienia szpitala Przemienienia Pańskiego w Poznaniu. Mało jest ludzi w Wielkopolsce, którzyby zakładu tego nie znali, bodaj z imienia. Był to pierwszy szpital w całem Księstwie urządzony, jak na owe czasy postępowo. Zrządzeniem Opatrzności Bożej, zakład ten powołany do życia staraniem Księcia Antoniego Radziwiłła, ówczesnego namiestnika królewskiego, ufundowany został przez króla Fryderyka Wilhelma III. z funduszów po zniesionych klasztorach: Panien Teresek, Karmelitanek, Klarysek i Katarzynek. Zostając pod szczególną opieką księżnej Ludwiki Radziwiłłowej, księżniczki pruskiej, cieszył się protekcją królewską. Wbrew woli założyciela, pozostał on jednak po wsze czasy ostoją polskości, bo przez cały wiek jego istnienia, pomimo zakusów, nie zdołał się wcisnąć do niego germanizm.

Nic więc dziwnego, że podczas jednej z ostatnich wizyt już podczas wielkiej wojny, gdy cesarzowa posłyszała wśród otaczających ją Sióstr mowę polską, zawołała z oburzeniem: „Tu się jeszcze mówi po polsku! No, najpóźniej za lat 15 zniknie stąd ten język!“. Chwała Bogu, dwa lata od owego okrzyku nie upłynęły, a znikło echo języka niemieckiego, a da Bóg niepowrotnie.

Na wyraźne życzenie założyciela tego zakładu Fryderyka Wilhelma III., zawezwano Siostry św. Wincentego

á Paulo z Warszawy dnia 2 marca 1822, a w warunkach między innemi zastrzegł Zerboni di Sposetti, ówczesny prezes naczelny, aby Siostry poza językiem polskim władały jeszcze niemieckim, lub francuskim. Sumiennie spełniły Siostry ostatni warunek, aż do ostatnich czasów, bo mówiąc biegle po polsku i francusku, niemczyzna tylko twardo z ust ich zawsze wychodziła. Stronili też Niemcy od tego zakładu z biegiem czasu i nieraz żałowali, że w pośpiechu, za wcześnie, bo już w r. 1825, udzielili Siostrom polskim praw korporacyjnych, które je uczyniły właścicielkami zakładu.

Chciał widocznie rząd pruski powstrzymać wpływy polskie idące z Warszawy, od której szpital był zależny, bo już w roku 1832 prezes naczelny Flottwell listem odręcznym z dnia 17 marca, zakazał ówczesnej przełożonej Siostrze Petroneli Pyrzanowskiej sprowadzania Sióstr z Warszawy, i nakazał otworzyć własne seminarjum dla kształcenia nowicjuszek.

Widocznie szło to powoli, bo przełożona trwa całe lata w zbawiennym uporze, a ustawicznie powtarzane prośby do rządu o sprowadzenie nowych towarzyszek z Warszawy, rozdrażniają rząd, który w r. 1862 gabinetowym rozkazem przenosi urząd wizytatorki do Chełmna, a Przemienienie Pańskie przestaje być domem centralnym, co trwa po dziś dzień.

Zawezwane Siostry 3 marca 1822 r. stanęły w Poznaniu dopiero w pierwszych dniach grudnia tegoż roku. Przywiozła je w liczbie ośmiu sama Siostra Wizytatorka Borzuchowska, a pierwszą przełożoną była Siostra Petronela Pyrzanowska. W statucie wręczonym Siostrom dnia 7 grudnia t. r. a podpisanym przez Siostrę Wizytatorkę Borzuchowską, sekretarkę S. Laską i S. Petronelę Pyrzanowską, zastrzega sobie rząd wyraźnie oddzielenie tego domu w czasie najbliższym od centralnego domu warszawskiego i ewentualne uzależnienie istniejącego już od wieku, domu Sióstr Chełmińskich, od nowowybranej Wizytatorki z Przemienienia Pańskiego.

Zakład ten na razie nie nadawał się na dom centralny. Był to mały klasztorek po Klaryskach, jednopiętrowy, przylegający z jednej strony do frontowej ściany kościoła a z drugiej strony znajdował się również mały domek, tworzący z prezbiterjum kościoła kąt prosty.

Ten szpital był obliczony na 60 łóżek i podzielony na 3 oddziały: chirurgiczny, chorób wewnętrznych i skórnych. Ale szybko zaczął się rozwijać i wyrastać pod troskliwą opieką Sióstr, aż wyrósł na olbrzymi i wspaniały zakład, jak się dziś oczom naszym przedstawia. Na usilne prośby Sióstr niebawem usunięto z zakładu chorych wenerycznie i do dziś dnia ma szpital tylko dwa oddziały: chirurgiczny i wewnętrzny.

Dzielne musiały być przełożone tego zakładu. Już pierwsza Siostra Pyrzanowska rozszerza zakład o dwie nowe sale chorych w r. 1829. Obok chorych, leżało jej na sercu jeszcze inne dzieło umiłowane przez św. Wincentego, mianowicie sieroty. W r. 1836 przygarnie więcej pokryjomu, by jej rząd nie przeszkodził, kilkadziesiąt sierotek; zakłada dla nich szkółkę domową i pracownię robót ręcznych. Zamiast nagany, nadspodziewanie otrzymuje od króla i dyrektora policji poznańskiej Hochberga uznanie za to dzieło. To zbożne dzieło przetrwało aż do r. 1876, w którym minister oświecenia hr. Eulenburg rozwiązuje sierociniec i każe wydalić sieroty z zakładu.

Za jej rządów, niezapomnianej pamięci hr. Edward Raczyński, zaprowadza własnym kosztem wodociągi do zakładu już w r. 1833. On też ufundował studzienkę w ogrodzie Sióstr przy ulicy Długiej i ozdobił ją prześliczną figurą Wniebowziętej Matki Boskiej, która do dnia dzisiejszego jest ozdobą miasta. Dzięki tej fundacji, zakład po dziś dzień korzysta jeszcze bezpłatnie z wody wodociągowej w pralni i w ogrodzie.

Urząd Przełożonej po śmierci S. Pyrzanowskiej obejmuje Siostra Paulina Studzińska w r. 1844. Została ona

pierwszą Wizytatorką prowincji poznańskiej. Dekretem z dnia 3 sierpnia 1843 roku generalny przełożony Sióstr Miłosierdzia Ojciec Etienne, odłącza dom poznański od Warszawy i stwarza niezależną prowincję Zgromadzenia poznańską, której poddaje dom Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie, istniejący już od końca siedmnastego wieku i wszystkie inne domy, które ewentualnie pozostaną na ziemiach polskich w państwie pruskiem. Przemienienie Pańskie stało się więc domem centralnym Zgromadzenia prow. poznańskiej.

Nowe wobec tego wyłoniły się potrzeby w zakładzie Przemienienia Pańskiego. Trzeba było utworzyć seminarjum dla kandydatek. Nowa wizytatorka zabiera się dzielnie do pracy. W roku 1862 rozpoczyna rozbudowę na wielką skalę starego a szczupłego skrzydła, przylegającego do ulicy Raczyńskiego, a nadto wznosi zupełnie nowy gmach dwupiętrowy w głębi ogrodu i tak cały kompleks budynków zamyka się regularną podkową. Rząd zaczyna się obawiać zbyt jeszcze żywych wpływów polskich w Poznaniu a nowa prowincja zgromadzenia miała wychowywać Siostry, któreby mu pomagały w dziele germanizacji. Dlatego też w r. 1863 przenosi zarząd prowincji do starożytnego zamku krzyżackiego w Chełmnie, aby te mury, przesiąknięte odwiecznie niemczyzną, nauczyły młode latorośle kochać co pruskie, szanować co niemieckie. Pomylił się w owych rachubach, bo Polki twarde, zamiast się zgermanizować, spolszczyły jeszcze bardziej Chełmno, tak, że sami Niemcy zaczęli nazywać klasztor chełmiński „Hochburg des Polentums".

Przemienienie Pańskie przechodzi znowu do rzędu zwykłego domu prowincjonalnego. Siostra Studzińska, zrzekłszy się godności wizytatorki, pozostaje na miejscu przełożoną i dalej prowadzi swe dzieło rozbudowy szpitala. W roku 1850 jest już tu Sióstr do 20, a szpital liczy 160 łóżek. Za jej czasów powiększono też znacznie ogród zakładowy.

W r. 1859 wstąpiła już w starszym wieku p. Daleszyńska do Sióstr Miłosierdzia. Jako posag wniosła do

Zgromadzenia ogród wraz z małym domkiem, przytykającym bezpośrednio do ogrodu zakładowego. Dalszą rozbudowę zawdzięcza zakład przedewszystkiem dwom przełożonym: S. Bronisławie Giersberg i S. Matyldzie Sumińskiej. Pierwsza z nich, późniejsza wizytatorka chełmińska, podniosła na piętro dom administracyjny, stojący przy placu Bernardyńskim. Jest to piękna budowa w stylu Pompadur, czyli baroka francuskiego. Jej wyrobionemu smakowi zawdzięczamy, że dom ten pomimo znacznych przeróbek nic nie stracił na piękności i jest jeszcze do dnia dzisiejszego ozdobą miasta Poznania, tak skądinąd ubogiego w stylowe gmachy.

Urządziła również dość obszerne mieszkania dla Ks. Kapelana i Ks. Dyrektora Sióstr, wznosząc przy południowej stronie Kościoła w ogrodzie, wcale pokaźny dom dwupiętrowy. Za jej rządów wstąpiła do Zgromadzenia S. Grudzińska, prawnuczka Wielkiego Księcia Konstantego. Jej inicjatywie zawdzięcza zakład piękny dom w ogrodzie, który wybudowała własnym kosztem, z głównem przeznaczeniem dla chorych kobiet ze sfer znaczniejszych.

Po odwołaniu Siostry Giersberg na wizytatorkę do Chełmna w r. 1896, ster rządów u Przemienienia objęła S. Sumińska. Dotychczas dysponował zakład już 170 łóżkami, ale ze wzrostem miasta — mimo to dawała się odczuwać coraz bardziej szczupłość miejsca w szpitalu katolickim. Za zachętą p. Dr. Ponieńskiego i Dr. Zielewicza, prymarjuszów zakładu, zabiera się S. Sumińska do budowy i przedłużając skrzydło przy ulicy Raczyńskiego, zdobywa dla chorych jeszcze miejsca na 30 łóżek. Ta ostatnia dobudówka skrystalizowała Przemienienie Pańskie w jego dotychczasowej formie zewnętrznej. Szpital ten przedstawia się dziś jako jeden z najokazalszych instytucyj w Polsce. Rozrost swój zawdzięcza on wyłącznie trosce Sióstr i życzliwości społeczeństwa naszego. Rozumiały dobrze Siostry, że szpital jest tem pożyteczniejszy dla społeczeństwa, im postępowszy w swych

urządzeniach wewnętrznych. Ucierpiał on bardzo pod tym względem w czasie ostatniej wojny. Obecna przełożona Siostra Barańska, wzięła sobie do serca, aby po usunięciu się wojska, które nie oszczędzało bynajmniej zakładu, postawić go na nogi i urządzić go według ostatnich wymogów hygienicznych. Przeniesiono zatem kuchnię z parteru do suteryn, pomnożono ogrzewanie korytarzy, sprowadzono przeszło 200 nowych, wygodnych łóżek, odmalowano olejno wszystkie ściany na biało, wszystkie ściany i korytarze pokryto dębowym parkietem, urządzono na nowo rentgen z zastosowaniem do terapji, postarano się o przyrządy promieniolecznicze, wyposażono dostatnio nowo urządzone sale operacyjne, urządzono bawialnie dla chodzących chorych, przerobiono ogród dla chorych wielkim nakładem. Nic więc dziwnego, że pochłonęły te zmiany ogromne miljony i Zgromadzenie Sióstr ugina się pod ich ciężarem. Domagają się remontu jeszcze odrapane ściany zewnętrzne, zwłaszcza od strony ogrodu. Ale nowe pochłonęłoby to miljony. Nie wolno pominąć i nowo a z wielkim gustem urządzonych klas dla mniejszych chorych. Piękno, czystość i wygoda, nie należą chyba do ostatnich czynników hygieny. Pod tym względem stanął szpital Przemienienia Pańskiego na czele naszych zakładów poznańskich i może iść w zawody z pierwszorzędnemi lecznicami europejskiemi.

Na czele zakładu stoi dwóch powszechnie znanych prymarjuszów: Dr. Meisner internista i Dr. Nowakowski, jako chirurg, a do ich pomocy mieszka stale w zakładzie dwóch asystentów.

Kiedyś zakład ten dysponował znacznemi funduszami, dzięki którym utrzymywał aż 40 wolnych łóżek dla biednych.

Z biegiem czasu, regencja poznańska, w której ręku znajdowały się te liczne fundusze i nieruchomości, zaprzepaściła wszystko tak, że dziś Przemienienie Pańskie po stopnieniu zwłaszcza naszej marki na papier bezwartościowy, zostało skazane wyłącznie na utrzymywanie się z opłat cho-

rych. Byłoby wskazanem, by nasze bogatsze sfery zajęły się tym naszym tradycyjnym zakładem, który podzielał wszystkie losy zabranych ziem naszych i cierpiał i weselił się z nami, aby znów mógł ubogi korzystać z dobrodziejstw opieki Sióstr, lekarzy i wygód zakładu.

Przemienienie Pańskie jest tylko prowincjonalnym domem Sióstr Miłosierdzia; wypadałoby więc, aby wrócił do swej dawnej godności domu centralnego, w którym pod okiem lekarzy doświadczonych, nowe, młode adeptki Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, wprawiałyby się do coraz bardziej skomplikowanej sztuki pielęgniarskiej. Do tego celu potrzeba gmachu obszernego — miejsca jest w ogrodach Przemienienia dosyć — brak tylko grosza.

Kościół Przemienienia Pańskiego.

Kościół Przemienienia Pańskiego sięga początku XVI. wieku. Ale już poprzednio, bo w r. 1417 jest wzmianka, że koło kościoła św. Salwatora w Poznaniu gromadziły się panny i wdowy trzeciego Zakonu św. Ojca Franciszka i mieszkały wspólnie pod regułą. Z biegiem czasu wytworzył się z tego Zakon Panien Klarysek, które nazywano w Poznaniu Bernardynkami. Kościół musiał być nieznaczny, bo w XVI. wieku kanonik kapitulny Ks. Kościelecki, uleczony cudownie z ciężkiej choroby, przez wdzięczność ku Bogu buduje na miejscu kościółka św. Salwatora dzisiejszy kościół i sprowadza do niego z Rzymu, z podziemi watykańskich figurę Zbawiciela, którą pobożność ludu naszego nazwała Przemienieniem Pana Jezusa i do dnia dzisiejszego ma ją w wielkiej czci z powodu wielkich łask, uzyskanych u jej stóp.

I dziś jeszcze gromadzą się dwa razy do roku liczne rzesze wiernych z całego księstwa, szukając tu u stóp ołtarza pociechy duszy i ciała.

Kościół Przemienienia Pańskiego miał dawniej aż ośm ołtarzy, które świadczyły o dawnej naszej kulturze i upodo-

baniach, a równocześnie były wyrazem żywotnej pobożności ludu polskiego.

Przy ostatniem odnowieniu, podjętem za staraniem ks. kapelana Zalewskiego, usunięto wszystkie ołtarze, a zastąpiono je trzema nowymi. Nowy wielki ołtarz jest rzeczywiście pięknym i godnym monumentem, podczas kiedy boczne pozostawiają wiele do życzenia.

Główna uroczystość jubileuszowa odbyła się w niedzielę d. 7 stycznia. Jego Eminencja Ks. Kardynał Dalbor, poinformowany o rocznicy, zapowiedział w kościele zakładu na godzinę 10 mszę św., na którą stawili się zaproszeni goście ze wszystkich sfer poznańskich.

Obok kilku dygnitarzy kościelnych byli przedstawiciele władz autonomicznych województwa poznańskiego, jak starosta krajowy p. Hubert, prezydent miasta p. Ratajski, z urzędu sanitarnego p. radca Hübner i p. Żmigród a i uniwersytet dostarczył dość spory zastęp przedstawicieli Wydziału lekarskiego, w osobach pp. profesorów: Dra Gantkowskiego, Dra Karwowskiego i innych. Po uroczystej wotywie, Jego Eminencja przemówił od ołtarza. W krótkich lecz gorących słowach przedstawił zgromadzonym historję sprowadzenia Sióstr Miłosierdzia do Polski przez królowę Ludwikę Gonzagę, która chcąc zatrzymać Siostrę Małgorzatę przy sobie w pałacu, odebrała odpowiedź: „Ach, Najjaśniejsza Pani, trzy nas tylko jest do służenia ubogim, a w królestwie tyle jest innych osób zdolniejszych do służenia Waszej Król. Mości! Pozwól nam Pani uczynić to, czego Bóg od nas żąda".

Następnie J. E. uwydatnił działalność Zgromadzenia w Polsce, między innemi w następujących słowach: „Nie sprzeniewierzyły się Siostry w Polsce idei św. Wincentego, bo dzięki ukochaniu i wierności swoim zasadom, rozszerzyło się ich Zgromadzenie po całej Polsce". A podziękowawszy Siostrom za pracę koło cierpiącej ludzkości, przedewszystkiem podjęte w jego djecezji, wyraził życzenie, aby Zgromadzenie rozwijało się coraz więcej.

Po uroczystości w kościele, goście z Jego Em. na czele zwiedzili szczegółowo odrestaurowany zakład.

W jednej sali chorzy, zaimprowizowanym występem pod przewodnictwem chorego aktora, przywitali dostojnych gości. Zakończono uroczystość wspólnem śniadaniem. Najprzewielebniejszy Ks. Wizytator Słomiński, który był łaskaw wziąć udział w jubileuszu, pierwszy rozpoczął szereg toastów. Powitawszy Jego Eminencję, wykazał wszystkie zasługi i troski podjęte przez arcybiskupów i biskupów poznańskich względem Sióstr, a zwłaszcza domu Przemienienia Pańskiego. A było co wyliczać, bo począwszy od Arcybiskupa Przyłuskiego, za którego się Siostry sprowadziły do Poznania, aż do obecnego przy stole Ks. Kardynała, nie zadowoliwszy się zwykłą sympatją, każdy z nich jakby wysilał się, by Siostrom dobrze było. Czuli bowiem dobrze, że ten dom to nietylko placówka miłosierdzia Chrystusowego, ale i forteca uczuć narodowych, o próg której rozbijały się zakusy germanizmu.

Po tem wstępnem przemówieniu, każdy z gości złączony z zakładem czyto pracą, jak lekarze obecni i dawni, czy też przez jakiś urząd, chciał dorzucić słów parę, niby cegiełkę bądź wdzięczności, bądź zachęty na przyszłość. Nie było końca toastom, naliczono ich coś dwadzieścia.

Mnóstwo napłynęło życzeń, a między innemi od księcia Radziwiłła z Antonina — potomka księcia Antoniego Radziwiłła, fundatora Zakładu Przemienienia Pańskiego.

Z dziejów Domu stradomskiego.

III. Seminarjum duchowne na Stradomiu. 1. Połączenie Seminarjów krakowskich w jeden zakład na Stradomiu, lata 1801—1901.

1. Połączenie. Rząd austrjacki dekretem gubernialnym, datowanym w Krakowie 28 sierpnia 1801 r. L. 14292 a podpisanym przez hr. Trautmannsdorfa i Bauma, zarządził prowizoryczne połączenie seminarjum zamkowego ze stradomskiem. Poprzednio zaś 24 czerwca 1801 r. L. 10915 zrobił to samo ze seminarjum Akademickiem, poleciwszy je złączyć ze Stradomskiem. Połączenie miało dokonać się w czasie wakacji, tak, żeby rok szkolny mógł się zacząć już po złączeniu. Za powód podaje dekret notoryczny brak dochodów w seminarjach zamkowem i akademickiem, co stwierdziła komisja gubernialna wyznaczona do regulacji Seminarjów. Przeciw temu pisał prefekt seminarjum akademickiego ks. Cyankiewicz remonstrację, którą w zastępstwie rektora Akademji krakowskiej podpisał J. Śniadecki, występując przeciw złączeniu seminarjum akademickiego ze stradomskiem. Główniejsze powody były następujące: powód trzeci, że seminarjum akademickie należy do akademji, a nie do biskupa. Był to całkiem nieprawdziwy argument i nie odpowiadał wcale rzeczywistemu stanowi rzeczy, a w r. 1827 oparł się na nim rząd polski, gdy zabierał majątki akademji krakowskiej i majątki seminarjum akademickiego także jako do niej należące. Słuszniejszym był już powód czwarty, że w ten sposób zabraknie fakultetowi teologicznemu w akademji słuchaczów. Szósty powód opiewa: quod longe maiorem quam in seminario stradomiensi alumni in necessaria aeducatione uberi sque in studiis emolumentum referent ob professorum in Universitate delectum et copiam. Wreszcie ósmy: si seminarium generale uti proponitur, Stradomiae locaretur

et inde alumni Universitatem adire cogerentur maximum hinc incommodum... pati deberent. Na te zarzuty odpisał konsystorz krakowski 11 sierpnia 1801 r., zbijając te powody jako bezpodstawne (cf. Archivum konsystorza krakowskiego. Acta Seminarii). Jest to połączenie prowizoryczne podyktowane wspomnianą koniecznością a skutkiem tego aktu jak dekret się wyraża, zmniejszają się wydatki na utrzymanie budynków i zarządu, a całości łatwiej się zaradzi. Dekret adresowany do ks. Józefa Olechowskiego, administratora biskupiego, prosi go, by dał swoje przyzwolenie: Idem Illmus Administrator ad extinguenda et dissolvenda Seminaria Academicum et Arcense ac ad unionem eorundem Seminario Stradomiensi solitum Episcopalem consensum impertiendum habet. Rząd przypuszcza, że już z końcem października 1801 r. to się dokona. Na urządzenie wyznacza 1445 florenów reńskich i 10 krajcarów, z ogólnego funduszu religijnego na ręce ks. Dąbkowskiego, wizytatora Księży Misjonarzy w zaborze austrjackim i ks. Górnickiego, rektora Seminarjum stradomskiego. Ruchomość ze zwiniętych seminarjów można przenieść na Stradom. Układ wewnętrzny, przełożeństwo, profesorów i kierownictwo alumnów tego prowizorycznie połączonego seminarjum zostawiono księdzu Administratorowi, którego zobowiązano do zdania liczby przed rządem ze stanu majątkowego Seminarjum. O tem rozporządzeniu rządowem ma władza dyecezjalna powiadomić księży Dąbkowskiego i Górnickiego.

Celem definitywnego załatwienia tej sprawy zasięgnął rząd austrjacki opinji rektora ks. Jana Kantego Górnickiego, misjonarza. Ten bardzo był za stałem złączeniem wszystkich krakowskich seminarjów w jedno. Owszem zdaniem ks. Wojciecha Malinowskiego (Pamiętniki 1817—1826, Archiwum stradomskie str. 1) on miał pobudzić austrjaków do tego, by w ten sposób zagarnąć zarząd seminarjów dyecezji krakowskiej, zwłaszcza kieleckiego bardzo bogatego. Lecz to twierdzenie upada wobec tego, że ks. Paweł Rzymski, wizytator warszawski powiada w podaniu do rządu królestwa dnia 17 września 1852 r. że to właśnie władza dyecezjalna, widząc zły stan finansowy seminarjów, wyraziła rządowi austrjackiemu życzenie, połączenia seminarjów. W listopadzie 1801 r. podał ks. rektor Jan Kanty Górnicki swą opinję rządowi, jak już wyżej w poprzednim artykule wspomnieliśmy, co sądził o nauce i wychowaniu w seminarjach kra-

kowskich. Dalej projektował, żeby w złączonem seminarjum było 120 alumnów. Dotychczas bowiem z trzech seminarjów krakowskich wychodziło przeciętnie po 10 kapłanów rocznie do pracy duszpasterskiej. Więc sądzi, że trzeba obecnie utrzymywać 120 alumnów przez cztery lata. Do zarządu i nauki wymaga 9 kapłanów, t. j. rektora, prefekta studjów, ojca duchownego i 6 profesorów. Do służby potrzeba 28 osób. Na piąte pytanie rządu, czy przypuścić zakonników do seminarjum dla pobierania nauk odpowiada stanowczo odmownie, bo przez to daje się alumnom zakonnym możność usuwania się z pod oka przełożonych swoich, niespełnienia reguł i okazję chodzenia po mieście. Radzi więc zostawić im studja zakonne, a nadzorować ich może ordynarjat przez staranne egzamina ich alumnów. W odpowiedzi na 6 pytanie uważał za niewskazane, by klerycy chodzili na wykłady do uniwersytetu, bo przez to straciliby 2 godziny na chodzenie na wykłady, dalej nie mają odpowiedniego ubioru, zwłaszcza zimowego, a przedewszystkiem ze względu na wykład, który w uniwersytecie bywa szeroki a niepraktyczny, z którego duchowny mało ma pożytku w zwyczajnem duszpasterstwie. Rząd pytał, czy wystarczy na rok na jednego alumna kwota 300 florenow reńskich. Ks. Górnicki zestawił niektóre tylko pozycje: i tak liczy na 2 suknie kleryka 113 florenów i 17 krajcarów, na służbę 95 florenów, na drzewo 500, bo na Stradomiu palono w kuchni i po stancjach drzewem aż do roku 1820, w którym ks. rektor Grzegorz Bienikowski kazał zrobić w kuchni dwa piece angielskie na węgiel i po komunałach kleryckich także piece na węgiel. Drzewa spalali za 5000 zł. p. rocznie (Malinowski pamiętnik str. 52). Na aptekę liczy ks. Górnicki rocznie 250 zł. r., na lampy 60, na kominy $6925^{6}/_{8}$ fl. Co do pożywienia nie podaje projektu, wspomina wszakże o śniadaniu, którego nie bywało dawniej. Wylicza posiadłości, które należały do seminarjum zamkowego, jako to: Biskupice pod Krakowem i Koniecmosty, ale te nie mają chłopów poddanych. Zaś Bożydar czyli Świńska Krzywda i ogród koło domu stradomskiego są prywatną własnością Księży Misjonarzy. Ze względu na zarząd seminarjów odpowiada, że ten po myśli Kościoła ma należeć do biskupa. Zresztą rozporządzenie cesarskie dla Galicji zach. na prośbę biskupów wydane 21 września 1796 r. i 14 marca 1797 r. przyznaje nadzór seminarjów biskupom. Co do sposobu przyjęcia kandydatów radzi wyznaczyć komisję

złożoną z profesorów seminaryjnych, którzyby pod przewodnictwem komisarza biskupiego, a jeżeliby rząd chciał, także w obecności rządowego przedstawiciela egzaminowali kandydatów i przedkładali biskupowi tych, którzy pomyślnie egzamin złożyli, by sobie z pośród nich wybrał alumnów. Co się tyczy tytułu do święceń (titulus ordinationis) to tu nie jest potrzebne austrjackie titulus mensae, bo w Galicji święcą kleryków na titulus provisionis privatae sive per institutionem, a słabi kapłani mają schronienie w domu emerytów.

Cesarz zredukował seminarja krakowskie z trzech na jedno na Stradomiu 18 grudnia 1801 r. (Archiwum konsyst. krakowskiego). Potem wyszedł dekret kancelarji nadwornej 21 października 1802 r. L. 2668, a na jego podstawie dekret hr. Trautmannsdorfa w Krakowie 18 listopada 1802 r. (21514) po niemiecku do ks. administratora Olechowskiego, w którym rozporządza, że do dyecezji krakowskiej należeć będą obwody Bochnia, Sącz, Myślenice, Kraków i Słomniki. Dalej wylicza obwody dla kieleckiej dyecezji i lubelskiej. Seminarja będą 3: w Krakowie, w Lublinie i w Kielcach, a znieść należy seminarja w Janowie i Sandomierzu i to z chwilą urządzenia tych trzech seminarjów.

2. Majątek zjednoczonego seminarjum. Główną przyczyną połączenia seminarjów krakowskich był niedostatek seminarjum zamkowego i akademickiego. Nie małą też rolę musiała grać tendencja centralizacji seminarjów, jaką przeprowadził Józef II., tworząc seminarja generalne w krajach austrjackich. To samo chciał mieć w nowonabytym zaborze krajów polskich. We wspomnianym dekrecie unji seminarjów z dnia 21 października i 18 listopada 1802 r. rząd wyznaczył 12.000 zł. reńskich na adaptację domu stradomskiego, na większą liczbę alumnów, którą ogólnie tylko oznaczono: Zweitens bewilligen Seine Maiestät, dass in die Diözesan Seminarien so viele Zöglinge aufgenommen seien, als jede Diözes deren zu Versehung der Seelsorge und der Unterrichts-anstalten bedürfe. Na alumna obliczono 250 zł. reńskich, a gdyby brakło funduszu, rząd dopłaci z funduszu religijnego. Dochody roczne obliczyła lustracja rządowa na 8157 florenów reńskich i $4^7/_8$ krajcara; w czem majątku seminaryjnego było 7304 florenów $49^1/_2$ krajcara. Za dzierżawę gmachów poseminaryjnych na Zamku i akademickiego na rzecz wojska płacił rząd 847 florenów i $15^3/_4$ krajcara rocznie. Jaki zaś był poprzednio stan majątkowy seminarjów

podaje ks. Górnicki w odpowiedzi Konsystorzowi generalnemu w Krakowie 10 sierpnia 1815 r. Tam pytał go Konsystorz o stan funduszów w r. 1770. Odpowiedział, że seminarjum zamkowe miało wieś Biskupice, dające 2 tysiące dochodu rocznego, Ludwinów 1000 i folwark pod Wiślicą bez włościan przynoszący 500 zł. polskich; dalej dziesięciny na Biskupicach seminaryjskich, Bogucicach, Przybyłówce, Rogowie, Kamionce, na Biskupicach kapitulnych, Jawczycach, Stadnikach i Krzywaczce, razem 1395 zł. polskich rocznie. Dalej kapitały lokowane na Sieciechowicach, Nagłowicach, Ściejowicach i Słupi, razem dochodu 14.345. Seminarjum zamkowe miało prawo do 8 beczek soli z Wieliczki i do 100 miarek jeszcze z czasów Kazimierza Wielkiego, co znaczyło 8 tysięcy zł pol. Ale rząd polski zredukował je na 160, zaś rząd austrjacki odmówił soli. Seminarjum akademickie miało w r. 1770 wsi Bogusławice, Strzemieszyce wielkie, Dworek, Latarnia nad Wisłą przy Rudawie, Wójtostwo w Rudniku wielkim i małym i w Jaworznie, dziesięciny w Starostwie Sądeckiem i Holszteńskiem; dochody z kapitałów lokowanych na Sieńsku, Mokrsku, na Kostszynie, na Rogowie i na Czaplach wielkich w sumie łącznej 51.788 dającej po 5% rocznie. (Patrz także podanie ks. P. Rzymskiego z r. 1832 do rządu Królestwa). Stradom miał 1770 r. wsi Laskową z 4 folwarkami dającą 13.540 złp. dochodu, wieś Dobronowice z Wolą Dobronowską daje 3000, folwark Ługowski z młynem 1250. Kapitały miał lokowane na 5% na Grajowie 65.000, na Nieznajowicach 43.403, na Niewiarowie 81.930, na Gaju 5.000, na Makowicy 10.000, na Żegocinie 9.000. W banku paryskim było 218.200 liwrów, czyli 327 300 złp. na 3%. Ale kapitał paryski od rewolucji nie dawał dochodów. Stradom miał 1770 rocznego dochodu 39,.835. Na pytanie, ile z tych funduszów pozostało po rozbiorach, ks. Górnicki odpowiada, że Seminarjum zamkowe straciło wsie Ludwinów, dziesięciny z Biskupic kapitulnych, Jawczyc, Krzywaczki oraz sumy na Słupi, czyli straciło dochodu rocznego 2.365 złp. Akademickie seminarjum straciło wsi: Bogusławice, Strzemieszyce wielkie i wszystkie wójtostwa, które zagarnął rząd pruski w r. 1795. Dworek Latarnia wraz z dziesięcinami Sądeckimi. Co stracił Stradom w 1782 r. poprzednio powiedzieliśmy — mianowicie dochodu rocznego 39.835. Tego rachunku ks. Górnicki zdaje się nie przedłożył konsystorzowi, bo w r. 1817 rząda konsystorz

od ks. Bieńkowskiego, by przedłożył seminar. rachunki z czasów ks. Górnickiego. Po złączeniu seminarjów wszystko przynosiło razem dochodu 8.157 florenów i $4^{7}/_{8}$ gr. Przewroty polityczne straszliwie odbiły się także na seminarjach.

Dekret cyrkularny z 20 lutego 1802 r. Nr. 8439 przeciwko ks. Andrzejowi Cyjankiewiczowi, ostatniemu dyrektorowi seminarjum przyznaje wszystkie sumy wspomnianego seminarjum Stradomiowi. Specjalnie 1000 złp. na Pełczyskach i Kostrzeszynie a właściciele Sieńska, Pełczynek i Czapel Wielkich mają spłacać swe obowiązki tylko Stradomiowi. Seminarjum stradomskie było w spokojnem posiadaniu powyższych sum 9 października 1872 r. kiedyto rząd polski postanowił zabrać fundusze akademji krakowskiej i instytucji od nich zależnych na rzecz państwa, co już 10 grudnia uskuteczniono. Gdy się o tem dowiedział ks. Walczyński, rektor Seminarjum Stradomskiego, wniósł sprzeciw do komisji rządowej oświecenia. Ta komisja oddała sprawę komisji skarbu, która dnia 14 września 1828 r, (Dziennik główny komisji wyznań i oświecenia L. 60527) odpowiedziała, że rzecz należy pokierować na drogę prawa. Ks. Walczyński wniósł więc skargę przeciw skarbowi polskiemu do komisji wojew. Krakowskiego 15 czerwca 1829 r. Sprawa przewlekała się wskutek różnych przeszkód, zwłaszcza wskutek powstania listopadowego. Wreszcie dn. 17 września 1832 r. ks. wizytator Paweł Rzymski wniósł obronę, napisaną przez ks. Wojciecha Malinowskiego, rektora seminarjum stradomskiego do komisji spraw wewn. i oświecenia. Ale jeszcze z początkiem roku następnego sprawa nie była załatwiona. Rzecz dziwna, że sprawa ta nie kończyła się, mimo że istniała ustawa ks. namiestnika z 5 lutego 1820 r. (Dziennik praw. tom 6 str. 450), orzekająca, że fundusze duchowne, kapitały, dziesięciny, które na mocy konwencji petersburskiej miały być zajęte przez rządy pruski i austrjacki, a dotąd nie były zajęte i nie są w ich posiadaniu, te wracają do swych dawnych właścicieli.

W r. 1839, 17 maja, senat rządzący wolnego miasta Krakowa (Nr. 7208/r. 1838 D. G. S.) orzekł, że Austrjacy zabrali na własność gmachy poseminaryjne na ul. Gołębiej a Kraków wszedł w posiadanie własności rządu poprzedniego. Zatem na żądanie rektora stradomskiego odpowiada, że nietylko nie zwróci tych gmachów, lecz żąda, by rektor formalnie się zrzekł pretensji dalszych. Tymczasem jak wyżej

powiedziano, Austrjacy oszacowali oba te budynki 18 listopada 1802 r. na 21.181 zł. reńskich i 25 krajcarów i płacili procentu 877 złr. i 15$^{3}/_{4}$ krajcarów, dopóki ich używali. Jest to jasny dowód, że Austrjacy nie wzięli ich na własność, lecz tylko używali.

W r. 1831, 17 października na sesji Kapituły Krakowskiej zdawali sprawę prowizorzy tego seminarjum stradomskiego ks. ks. kanonicy Łańcucki i Łętowski. Podali, że dochód jego w r. 1830/31 wynosił 15.004 złp. i 25 groszy, a procent od fundacji kapitulnej 5.700 czyli razem 20.704 złp. i 25 gr. Zaś rozchód na utrzymanie domu według ks. Olechowskiego 7.900 złp. do czego rektor dodaje 2.400, razem 10.300 złp. Alumnów było 36, rektor żąda podwyżki, by na każdego alumna przypadło 600 złp.

W r. 1848 groziło wielkie niebezpieczeństwo domowi stradomskiemu, bo wojsko, chcąc ulżyć miastu co do kwaterunku wojsk, postanowiło zagarnąć klasztory na kasarnie. Mianowicie Ministerjum wojny postanowiło zabrać klasztory: Paulinów, Bernardynów i dom ks. ks. Misjonarzy na Stradomiu a seminarjum przenieść do klasztoru Dominikanów lub Karmelitów. Energicznie wystąpił przeciw temu ks. rektor Dąbrowicz, administrator. Ks. bp. Łętowski zwrócił się przeciw dekretowi zaboru 8 kwietnia 1839 r. polecającemu urządzić szpital wojskowy na Stradomiu. Nic to nie pomogło, bo Oberkommando 9 maja 1849 r. zagarnęło cały dom na szpital, zostawiając tylko dwa pokoiki na archiwum i bibljotekę. Wojsko miało płacić za dom 3.000 złr. bez ogrodu. Ale w rzeczywistości utrzymało się seminarjum w domu stradomskim. Jeszcze później 1858 r 31 grudnia Ministerstwo wyznań donosi administratorowi dyecezji Krakowskiej, że wizytator ks. ks. Misjonarzy odstępuje od zajęcia domu stradomskiego na rzecz Sióstr Miłosierdzia.

Ks. Dąbrowicz oblicza dochód domu stradomskiego dnia 5 lutego 1852 r. na 24.994 złp. i 3$^{3}/_{4}$ krajc. a ks. Stefan Klinger, rektor stradomski obliczył dochód roczny 11 czerwca 1867 r. w obrębie Wielkiego Księstwa Krakowskiego na 4.219 złp. 17 gr. Od czego płacili podatku 306 złp. 25 gr.

Ks. Bączkowicz.

C. d. n.

Z pracy duszpasterskiej wśród robotników polskich we Francji.

Powszechnie znanem zjawiskiem w Polsce jest emigracja naszego ludu za chlebem. Przed wojną ogromne masy wychodźców wyjeżdżały do Ameryki jednej i drugiej, inni kierowali się do Danji, nawet Szwecji, a już do Niemiec, jak to nazywano »na Saksy«, wędrowali jak ptaki odlotne. We Francji tylko nieznaczna cząstka szukała zarobku. Dziś i pod tym względem wielka wojna zapoczątkowała nową epokę. Zdawałoby się, że wolna Ojczyzna wszystkie dzieci przytuli do swego łona, owszem przygarnie rozpierzchłe po całej kuli ziemskiej, niestety w jej piersi rozdartej nie stało pokarmu dla wszystkich. I znowu rozpoczęła się wędrówka naszych rodaków. Ameryka przymknęła swoje podwoje i udziela gościny tylko skromnej liczbie szczęśliwych. W Niemczech zrujnowanych zarobek dzienny nie wystarcza na życie nawet średniej miary, brak artykułów pierwszej potrzeby, brak chleba przedewszystkiem. Reszty dokonały prześladowania, tak że robotnik polski nie czuł się pewnym swego mienia i życia. Wobec tego położenia Konsulat polski w Essen, po porozumieniu się rządów polskiego i francuskiego, skierował wszystkich pragnących wyjechać robotników polskich z Niemiec do Francji, która zwycięska, ale zrujnowana doszczętnie na północy i wyludniona, potrzebowała na gwałt rąk do pracy. Wobec korzystnych warunków emigracja polska dzisiaj nietylko z Niemiec, ale i z całej Polski skierowała się prawie wyłącznie do Francji.

Poszedł lud w ogromnej masie, bo zdaje się trzeba go dzisiaj liczyć we Francji na setki tysięcy, ale poszedł bez pasterzy, bez opieki duchowej. To też Episkopat polski postanowił zająć się tą sprawą piekącą i uprosił J. E. Ks. Kard. Dalbora, by występował w jego imieniu. J. Eminencja ze swej

strony zwrócił się do naszego Zgromadzenia, by ono wzięło w rękę i pokierowało na miejscu we Francji polską misją kościelną. Wobec tego wezwania i stosownie do myśli przewodniej naszego powołania Najprzewiel. Ks. Wizytator podjął się tego dzieła.

Obecnie plan misji polskiej we Francji przedstawia się w następujący sposób: Rektora każdorazowego mianuje Ks. Wizytator z pośród kapłanów prowincji polskiej naszego Zgromadzenia, zatwierdza go J. Em. Ks. Kard. Prymas, ze strony Episkopatu francuskiego zatwierdza go J. Em. Ks. Arcybiskup paryski przez swego koadjutora Ks. Biskupa dla cudzoziemców. Rektor ten, którym obecnie jest ks. Wilhelm Szymbor, ma swoją siedzibę przy kościele Wniebowzięcia N. M. P. w Paryżu i jest zarazem rektorem tegoż kościoła. Do pomocy mają mu być dodani trzej nasi konfratrzy, jeden do Paryża, a dwaj inni do wędrownego duszpasterstwa. Nadto ks. Rektorowi podlegają wszyscy kapłani polscy, pracujący między naszymi robotnikami we Francji. W ten sposób szczęśliwie ustalono szkielet ogólny duszpasterstwa, trzeba go jednak przyoblec w ciało, potrzeba kapłanów gorliwych, którzyby, rozsiani po Francji, zaspokajali głód duchowy naszych rodaków.

Zdając sobie doskonale sprawę z tego opuszczenia naszych emigrantów, tembardziej, że miałem sposobność naocznie się przekonać przed dwoma laty w czasie mojej pastoryzacji, na wezwanie Czcig. ks. Szymbora z błogosławieństwem Przew. ks. Wizytatora wybrałem się i tego roku na czas wakacji na tę tułaczkę, pełną doświadczeń i spostrzeżeń, któremi chociaż w części chciałbym się podzielić z czytelnikami »Roczników«.

Z pomiędzy wszystkich trudności, na jakie taka daleka podróż naraża w dzisiejszych czasach wobec tylu granic, rewizji, najwięcej kłopotu kosztowało mnie uzyskanie wizy francuskiej. Nie pomogło polecenie z polskiego Ministerstwa spraw zagranicznych, żądali jeszcze polecenia z Ministerstwa Wyznań i Oświaty, a kiedy i to przedłożyłem, po długich targach dopiero zdołałem placet uzyskać. Podróż tem była przyjemniejsza, że jechałem aż do Paryża w wagonie polskim, na którym widniały napisy polskie, biały orzeł i litery P. K. P. Po drodze prawie na wszystkich dworcach niemieckich, jeszcze aż za Hannowerem, spotykałem wagony próżne lub naładowane drzewem z polskimi znakami. Mimo-

woli nasuwała się myśl, że przecież jesteśmy narodem, że muszą się z nami liczyć w stosunkach międzynarodowych, że coś znaczymy.

Przybywszy do Paryża po prawie 30-godzinnej jeździe z Poznania, stanęła przedemną alternatywa, albo wybrać duszpasterstwo wędrowne, za wzorem Apostołów iść od wsi do wsi i łowić naszych rodaków, albo osiąść na jednem miejscu i obrabiać jeden kawałek winnicy Pańskiej. Wybór był trudny wobec ważnych motywów z jednej i drugiej strony. Po namyśle i naradzie zdecydowałem się na stałą posadę wobec tego, że duszpasterstwo wędrowne wymaga wiele sił fizycznych, a ja byłem po pracy całorocznej, a po wakacjach czekał mnie nowy rok szkolny. W losowaniu apostolskiem dostała mi się miejscowość Ostricourt, położona o 30 klm. na północ od Douai. Po pewnych trudnościach, które zawsze cechują dzieła Boże, zdołałem objąć w posiadanie moją placówkę »Parafja« moja, długości 8 klm., rozciągała się w dwóch djecezjach Lille i Arras, oraz w czterech parafjach francuskich i liczyła około 3.500 dusz polskich, nowi przybysze jednak napływali prawie codziennie. Kompanja górnicza z Ostricourt, to jedna z wielu, między które zostały podzielone tereny węglowe Francji północnej.

Nie będę wiele zatrzymywał się nad zakątkiem mojej pracy, ale chciałbym przedstawić ogólne życie robotnicze naszych emigrantów. Powoli wytwarzają się rzeczywiście wszędzie te same stosunki już to dlatego, że te same są warunki pracy oraz poziom intelektualny robotnika, już też dlatego, że dokonywa się ustawiczna wymiana, wędrówka tego robotnika, z czem bardzo często spotykałem się w czasie moich ekskursji duszpasterskich.

Robotnicy polscy we Francji mają pracę najrozmaitszą; przeważnie zajęci są jednak w dwu gałęziach, t. j. przy odbudowie okolic zniszczonych i w górnictwie. Znaną jest rzeczą, że w terenach dotkniętych wojną są okolice podobne kompletnie do pustyni. Gdzie okiem sięgnąć, pustka i pustka, a raczej krajobraz zarosły chwastami. Osty i trawy w pas się unoszą, przypominając Ukrainę sienkiewiczowską, maki i różne kwiaty polne wybujały nadmiernie na zrytej bojem i z natury urodzajnej ziemi. Z drzew zrzadka tylko sterczą poszarpane kikuty, świadcząc o strasznych dniach, w górze wywodzi swoje trele miły skowronek, a ze wszech stron dochodzi uszu jedna burza rozśpiewanych koników polnych.

Droga bita wije się niby nić srebrna między temi ugorami, niekiedy przesunie się szybko auto ciężarowe i znika za wzgórzami na horyzoncie, gdzieniegdzie sterczy nasyp okopów, a pod nim otwiera się paszcza chodnika podziemnego, obok drogi po polach zwały drutów kolczastych, telefonicznych, gdzieniegdzie leży rozdarty pocisk armatni, a pod stopami zdeptane kołami wozów naboje karabinowe. Atmosfera wojenna tak przesiąkła do szpiku narodu, że nawet gosposie polskie do noszenia węgli używają porzuconych stalowych hełmów niemieckich. Napotykałem na wioski, a raczej na ślady wiosek. Większa kupa gruzów, porozbijane krzyże, nagrobki świadczą, że tu był kościół lub cmentarz. Dziś oczywiście te pustki znikają powoli, dzięki między innymi i naszym robotnikom. Pierwsze partje, na kontraktach rządowych, zajęte były zacieraniem śladów wojny; budowali drogi, koleje, równali rowy strzeleckie, ładowali w Boulogne z okrętów materjał budowlany amerykański na wagony, a inni na miejscu wyładowywali i rozwozili po kraju, stawiali baraki lub półokrągłe budy blaszane, wydobyte z okopów dla ludności tubylczej. W miarę powrotu ludność sama po wsiach dokończa dzieła pracy, robotnicy zaś zatrudnieni przy odbudowie miast, fabryk, mostów i t. d. O ile robotnicy zajęci są przy przedsiębiorstwach prywatnych, pracują bez kontraktów na akord i zarabiają dziennie, o ile są fachowymi rzemieślnikami, od 30 nawet do 50 fr., to też robota postępuje ogromnie szybko, domy, fabryki wyrastają w mgnieniu oka, ale roboty nie ubywa, bo wszystko jest jeszcze do zrobienia. Prawdopodobnie niema wioski we Francji północnej, gdzieby nie było Polaków, o ile przy różnych okolicznościach pytałem się księży miejscowych z różnych okolic, wszyscy mówili mi, że ich mają u siebie.

Inny rodzaj pracy, który zatrudnia dziesiątki tysięcy naszych rodaków, to kopalnie węgla. Francja posiada ogromne jego masy na południu w zagłębiu węglowem St. Etienne, oraz na północy. Geologicznie pokłady węglowe na północy to dalszy ciąg zagłębia westfalskiego, Saary, które ciągnie się przez Belgję, Francję i prawdopodobnie przechodzi do Anglji.

Prawie wszyscy robotnicy, którzy pracują we Francji, to tułacze za chlebem, niedostatek tylko zmusił ich do emigracji. Spotkałem jednak i jednostki, które zdaje się cel mają inny, jeden wyraźnie mi powiedział, że należy do t. zw. de-

fenzywy, w kraju miał się bardzo dobrze, ale chce poznać tutejsze stosunki, inni, to działacze lewicowi, znajdą się i półinteligenci, którzy tam się udają, by objąć posady tłumaczy, kantyniarzy i t. d. Są i tacy, którzy w kraju porzucili i nie złe stanowiska jak agronoma, urzędnika Tow. ubezpieczeń, zwabieni wysoką walutą francuską. Takich, którzyby tam mieszkali już przed wojną, jest bardzo mało, ale ogół składa się z familij zresztą bardzo dobrych, które tu przeniosły się z Westfalji oraz z rodzin, napływających ustawicznie z Polski ze wszystkich jej prowincji. I tutaj trzeba wiele pracować nad złagodzeniem różnic dzielnicowych. Lud, przybywający z Westfalji lub zaboru pruskiego, jest więcej rozgarnięty, więcej karny, pewny siebie, przyzwyczajony do większego dostatku, przyzwyczajony do stowarzyszeń, bez których i tutaj obejść się nie może. Ludność z zaboru rosyjskiego jest więcej bierna, poprzestaje na małem, trwożliwa, lubi pieniactwo i nie odczuwa potrzeby zrzeszenia. Galicjanin idzie pośrodkiem.

Zarobki górników wynoszą od 12—22 fr. dziennie; zależy to od kwalifikacji robotnika. Cennik ten nie jest nadzwyczajnie korzystny na tamtejsze stosunki, gdzie kilo masła kosztuje 12 fr., kilo chleba 1 fr. 10 cent., jaje pół franka i t. d., na ogół jednak wystarcza na dostatnie nawet utrzymanie familji nawet liczniejszej, tem bardziej, że każda rodzina otrzymuje na każde dziecko pewien dzienny dodatek. Jeżeli ktoś jednak ma rodzinę w Polsce, wobec czego nie dostaje dodatku na dzieci, i zarabia tylko 12, 14 lub nawet 16 fr., to zarobek ten okazuje się niewystarczający. Na ogół każdy robotnik, nawet taki, który pracował w Westfalji po kilkanaście lat, musi przechodzić czas próby, nim się zaprawi do odrębnych warunków pracy. Zwyczajnie rok cały pracuje każdy na kontrakt, który tem niżej opiewa, im później robotnik przychodzi, jeżeli pracuje dobrze, dają mu franka lub półtora ponad kontrakt, by go zaspokoić, po roku dopiero, kiedy kontrakt skończył i chce odchodzić, wtedy stosunki poprawiają się, uznają go za wprawionego. Wiele kopalń przyjmuje bez kontraktu i płaci lepiej.

Nasi robotnicy umieją sobie jednak radzić praktycznie, nie licząc się ze sumieniem. Prawie wszystkie kompanje górnicze Francji związały się i wytworzyły jeden Komitet centralny węglowy. Ten Komitet ma swoje biura w Polsce w Poznaniu i Oświęcimie i sprowadza robotników do Francji

stosownie do zgłoszonego zapotrzebowania każdej kompanji górniczej. Robotnik dostaje darmo całą podróż, całe utrzymanie i wszelką opiekę, nawet lekarską, aż na miejsce przeznaczenia. Tutaj w ciągu pracy odtrącają mu na koszta podróży 150 fr. Więcej niż połowa przybyłych w ten sposób ulatnia się z kopalni na drugi lub trzeci dzień, dziękując Bogu, że się znalazła tanim kosztem na ziemi francuskiej i wynajmuje się do różnych robót prywatnych, lepiej płatnych. Wielu rzemieślników, zwłaszcza murarzy, fałszuje swoje papiery, podaje się za górników, a już od kolegów dostali wiadomość, gdzie lepsza praca i zapłata. Przybywszy na miejsce, wsiąkają w ziemię. Kompanje ponoszą z tego powodu wielkie straty, które oczywiście, można przypuścić, powetują sobie na drugich. Sprawa ta przyniosła mi nieco kłopotu. Z obowiązku duszpasterza musiałem raz lud przestrzec przed taką niesumiennością, oszustwem, łamaniem kontraktów bez powodu. Powstała na mnie burza w kolonji; jedni mówili: »związał się z kapitalistami przeciwko nam«, inni: »nie na to kościół, by tam poruszano sprawy robotnicze, nie pójdziemy więcej do kościoła«. Rozumiałem dobrze, że sprawa moja jest czysta, szukałem sposobności, by ją wytoczyć na zebraniu publicznem i wyjaśnić. Niebawem zwołałem w szkole wielkie zebranie robotnicze i między innemi i tę sprawę im wytłumaczyłem. Było kilku socjalistów, dobrych mowców, ale mnie już więcej nie zaczepiali.

Familje zasadniczo otrzymują wygodne mieszkanie, składające się z kuchni i z trzech pokoi, do mieszkania przylega ogródek warzywny. Wobec zbytniego napływu często familje dostają tylko po połowie mieszkania. T. zw. samotni mieszkają w barakach wspólnych i stołują się w kantynie, prowadzonej przez jakiegoś Polaka lub nawet przez Francuza, płacąc dziennie za wikt 7 fr. a za mieszkanie pół fr, lub też na własne życzenie pobierają z kantyny pół wiktu, t. z. obiad i kawę na rano i wieczór, płacąc, zależnie od umowy, około 2 lub 3 fr. dziennie. Wielka liczba samotnych mieszka u rodzin jako t. zw. kostnicy, które im zapewniają według umowy wikt i opranie.

Na ogół rodacy nasi są bardzo oszczędni, zwłaszcza ci, którzy muszą utrzymywać swoje rodziny w Polsce. Zdarzają się i takie wypadki, że żyją o chlebie i wodzie lub gotowanych na wodzie ziemniakach, byle tylko grosz zaoszczędzić Rodziny żyją zwykle dostatnio, zużywając cały zarobek na

swoje utrzymanie. Oczywiście, trzeba było przestrzegać pierwszych, by zdrowia nie zrujnowali i nie wrócili z frankami, ale kalekami do kraju, drugich, by pomyśleli o przyszłości. Nie rzadko spotyka się jednak i wypadki marnotrawienia grosza na pijatykę i karciarstwo.

Pod względem obyczajów straszną plagą naszego wychodźctwa to t. zw. dzikie małżeństwa. Każda kolonja roi się od nich. Często zdarza się, że żona ucieka od męża i siedzi z innym, a mąż nie ma sposobu jej sprowadzić. Zdaje mi się, że po tym względem grozi naszym robotnikom straszne niebezpieczeństwo we Francji. W Niemczech groziło im wynarodowienie, tutaj jednak, gdzie rząd nie kładzie żadnej tamy, wszystko im wolno. Kompanje górnicze, jakkolwiek w rękach praktykujących katolików, zbyt potrzebują robotnika, by miały się kierować takimi względami. Powodem takiego smutnego położenia moralnego jest w znacznej części brak wyszkolenia katechizmowego, powtóre nieszczęśliwe wypadki familijne, a wreszcie okropny pod tym względem przykład ludności miejscowej.

Razu jednego udałem się do pewnej rodziny, która żyła »na wiarę« z propozycją, że im ochrzczę dziecko blizko dwuletnie gratis i bez hałasu, a powtóre wystaram się im o potrzebne dokumenta do zawarcia małżeństwa. Ojciec oświadczył mi jednak, że co do dziecka, to sprawa nie taka pilna, bo chłopiec zdrów, a on sam pamięta o obowiązku ochrzczenia go i sam się o to postara, ale zrobi to uroczyście, kiedy się nieco zapomoże; nie pomogły perswazje. Co do małżeństwa jest zdania, że teraz mu wojna oczy otworzyła, chodzi do kościoła, jest uczciwym człowiekiem, a czy ma ślub kościelny czy nie, to wszystko jedno, iluż to wzięło ślub w kościele, a jak żyją; zatem o niczem na razie nie myśli.

I niedola familijna jest powodem takiej niemoralności. Skoro tylko opuściłem rodzinę, o której wspomniałem, udałem się wprost przez sień tego samego domu do drugiej takiej samej. Przywitała mnie niewiasta, upadając do nóg i całując po rękach. Mieszkanie pięknie urządzone, umeblowane, nad łóżkiem obrazy świętych, koło matki tuli się troje małych dzieci, powtarzając sobie »ksiądz przyszedł«. Pytam o męża, odpowiada »w robocie«, a już wiedziałem, że żyje »na wiarę« w dzikiem małżeństwie. Wspominam jej bez ogródki, że im dopomogę do zawarcia małżeństwa. Okazało

się, że ona sama płacze nad swojem położeniem, a człowiek, który z nią żyje, tyranizuje ją, gorzej się z nią obchodzi niż z niewolnicą, a ona musi znosić, bo obarczona trojgiem dzieci po śmierci męża, wprost nie wie, co ma począć, on zaś dostarcza jej wszystkich środków do życia. Żal mi się zrobiło, łzy cisnęły się do oczu, co było robić, zająć się nie podobna, bo już gotowałem się do wyjazdu.

Wpływ robotników francuskich i w tym względzie jest ujemny, że oni są chrześcijanami z imienia i wprost wyśmiewają się z robotnika polskiego, udającego się w niedzielę na Mszę św., czyniąc mu zarzut najboleśniejszy dla robotnika, że w ten sposób trzyma z kapitalistami. We Francji niebywałą jest rzeczą, by robotnik szedł do kościoła, idą sfery inteligentne i dzieci. Nasi robotnicy oraz niewiasty odświętnie ubrani, udający się do kościoła i klękający na posadzce na oba kolana, to przedmiot dla jednych pośmiewiska, dla drugich podziwu, a dla rozumniejszych i zbudowania. Wielokrotnie powtarzano mi, że przybycie w obecnym czasie Polaków do Francji jest opatrznościowe, spełniają oni dzieło misyjne dla tubylczej ludności. Ogromnie podoba się wszystkim poważne zachowanie się dzieci polskich w kościele, oraz skupienie ogółu i śpiew wspólny pieśni polskich; podczas kiedy w czasie nabożeństwa francuskiego tylko garstka wykonywa śpiew gregorjański.

Na szczęście wpływ robotnika francuskiego nie jest zbyt groźny, bo na ogół zdala się trzymają Polacy od Francuzów już to z powodu trudności językowych, już też, że robotnik francuski, ultrapatrjotycznie nastrojony, nie lubi Polaka, który często walczył w armji niemieckiej, lub też dla tej prostej przyczyny, że napływ polskiego robotnika zepsuł zarobki i Francuzom. Przed dwoma laty, kiedy napływ ten był minimalny, robotnik francuski zarabiał w górnictwie około 30 fr. dziennie. Dziś, mimo że wszystkie ceny poszły znacznie w górę, zarabia około 20 lub niżej. Niebezpieczeństwa jednak moralne są groźne; łudzić się nie można.

Jak ludność z ukosa patrzy na przybyszów, nie odróżniając ich dobrze od Niemców, tak z drugiej strony zarządy kopalni są nadzwyczajnie zadowolone z polskiego robotnika. Przedewszystkiem ten robotnik jest bardzo wydatny, francuski wydobywał poprzednio na dzień 15 do 20 wózków węgla, dziś musi się spieszyć, bo polski robotnik wydobędzie przeszło 30. Robotnik polski jest spokojniejszy, nieskory do

strejków, zaburzeń, bo zdaje sobie sprawę, że jest u obcych, oraz pamięta, że przybył na zarobek i że rodzina w Polsce oczekuje grosza z utęsknieniem. Robotnik polski jest więcej katolicki, praktykujący, co go usposabia także łagodniej. Stąd też kompanje górnicze gotowe na wszystko, byle tylko tego robotnika zatrzymać. Obecnie budują bardzo pospiesznie domy na pomieszczenie rodzin, dla samotnych na razie wystarczają baraki, które jednak w miarę gotowych domów robotniczych będą opróżniać. Prawie wszystkie kompanje górnicze starają się o księdza polskiego, a to z różnych pobudek. Często na czele tych kompanij stoją dyrektorzy gorliwi katolicy, nie mogą zatem obojętnie patrzeć na opuszczenie religijne praktykującego ludu polskiego, któremu dostatecznej pomocy nie jest w stanie przynieść pasterz miejscowy francuski. Inni kierują się oportunizmem, chcą Polakom, przywiązanym do swojego kapłana, dać zadośćuczynienie, by im stworzyć możliwie swojskie warunki, ażeby ten lud tem łatwiej się osiedlił. Inni wreszcie, znając uspokajający wpływ religji katolickiej oraz wpływ kapłana na lud, starają się i tego środka użyć, by tylko ten robotnik pracował w spokoju. Naturalnie woleliby Francuzi, by tym kapelanem Polaków był Francuz mówiący po polsku. Kryje się tu myśl inna, boją się patrjotycznego wpływu kapłana polskiego. Inteligencja francuska zdaje sobie sprawę doskonale ze zepsucia moralnego, ze zbyt małego przyrostu ludności miejscowej, a nawet z ubytku w niektórych departamentach, oraz z wyludnienia kraju wskutek strasznej wojny ostatniej, a zastrasza ich przyrost ludności niemieckiej. Trzeba zauważyć, że Francja straciła w czasie wojny 1914—1918 r. 4 i pół miljona ludności, a nadwyżka urodzeń nad zgonami w roku 1920 wynosiła 198 000, w 1921 roku 117.000, a w pierwszem półroczu 1922 r. tylko 9.045. W latach od r. 1900 do 1910 przybyło we Francji na każde 10.000 mieszkańców 12, a w Niemczech 143. W roku 1911 na każde 10.000 ubyło we Francji 9 mieszkańców, a w Niemczech przybyło 113. (H. A. Krose S. J.: »Kirchliches Handbuch für das katholische Deutschland« V, 346). Są to liczby bardzo wymowne. W najlepszym razie Francja musi czekać około 40 lat na pokrycie strat w ludności, w czasie wojny poniesionych. Zdaje im się zatem, że nadarza się doskonała sposobność zasilenia rasy francuskiej krwią polską, przynoszącą ze sobą wiele pożądanych zalet moralnych i fizycznych. Nic więc

dziwnego, że się łudzą, nie znając Polaków, że oni tam już zostaną. Chętnie widzieliby, gdyby Polacy łączyli się jak najściślej z ludnością miejscową, by wchodzili w związki małżeńskie, by dzieci posyłali do szkoły francuskiej. Tu zdaje mi się należy szukać przyczyny, że i duchowieństwo miejscowe często niechętnie widzi kapłana polskiego, który zawsze patrjotycznie i separatystycznie na lud oddziałuje. Kapłan polski zaś nie może inaczej postępować między innemi i dlatego, bo to potężny środek uchronienia naszego ludu od zepsucia, a powtóre inaczej straciłby wszelki wpływ, tak mu potrzebny. Nasi bowiem robotnicy trzymają się oddzielnie; o ile tworzą jakie stowarzyszenie, choćby gimnastyczne, to zawsze odrębne, własne, polskie, nie chcą się żadną miarą łączyć z Francuzami, co tych ostatnich ogromnie dziwi i gniewa.

Na ogół lud nasz bardzo patrjotycznie usposobiony, tęskni za Polską i chce wracać, o ile tylko stosunki w kraju się poprawią. Znajdą się i tacy, którzy ją przeklinają okropnie. Po odbudowie Polski powrócili do kraju i szukali tych samych warunków lub jeszcze lepszych jako w Ojczyźnie, jakie mieli we Westfalji, ale się zawiedli. Inni służyli w armji gen. Hallera, wiele im obiecywano, odbyli całą kampanję przeciwko bolszewikom i żadnej nagrody nie doczekali się, nawet żołdu im nie wypłacano zawsze rzetelnie, to też straszną gorycz chowają w sercu.

Obecnie daje się odczuwać brak kapłanów polskich. Emigrantów przybywa coraz więcej, w wielu miejscowościach tworzą już kolonje, liczące po kilka tysięcy dusz, a pozbawieni są zupełnie opieki duchowej. O ile niema kapłana na miejscu przez długi czas, wkrada się wiele błędów, bardzo wielu nie uczęszcza do kościoła na Mszę św., tłómaczą się, że kazania nie rozumieją, nie rozumieją śpiewu. Nie podoba się również ludowi zbytnia swoboda Francuzów w czasie nabożeństwa, system krzeseł, któremi w kościele sprawiają ogromnie wiele hałasu i t. d. Jeżeli kapłan stale pracuje na miejscu, może wiele zrobić przez kazania, których lud słucha bardzo chętnie i bierze sobie je do serca, o czem sam się przekonałem. Doskonałym środkiem pomocniczym są różne stowarzyszenia kościelne, których zakładania domagają się sami robotnicy, najważniejsze to: św. Barbary dla górników, Żywego Różańca dla stanów poszczególnych, zwłaszcza dla kobiet, chętnie garnęliby się do Sodalicji Marjańskiej, oraz

do chóru kościelnego. Popieranie tych organizacji powinno być jedną z ważnych trosk duszpasterza. Nadto kapłan może poprzeć i pokierować w danym razie i stowarzyszeniami świeckiemi, jak Sokół, Oświata i t. d,

Ogromną przysługę mogą oddać ogólne zebrania robotnicze czyli wiece. Najłatwiejszy to sposób wejścia w kontakt z ludem, zyskania sobie jego zaufania. Jest to jednak broń obosieczna, bo znajdą się tam i żywioły radykalne, wymowne, przewrotne, posługujące się kłamstwami, oszczerstwami, tak, że można się znaleźć nieprzygotowanym do odpowiedzi. Ze swej strony zawsze wykluczałem z dyskusji politykę, wyraźnie zaznaczałem, że nie należę do żadnej partji, ani też żadnej nie jestem wysłannikiem czy agentem, owszem potępiałem zaciekłość partyjną, która tyle szkód Polsce wyrządziła, podkreślałem, że jestem katolikiem-kapłanem, a powtóre Polakiem, że przybywam do rodaków na obczyźnie jako przyjaciel, gotowy do wszelkiej pomocy, przedewszystkiem duchowej. Tu miałem sposobność do różnych przestróg i uwag, których nie mogłem poruszać na ambonie. Rzetelną pracę lud zawsze uzna i oceni, wiele dusz znajduje się bardzo prostych i szczerych, przywiązanych do kapłana, któremi należy tylko pokierować

Jedną z piekących spraw, to kwestja szkoły. Dotychczas nikt się nią systematycznie nie zajmował, a jak się przekonuję, tutaj w kraju panuje zupełne nieuświadomienie pod tym względem, We Francji znajduje się ogromna liczba rodzin, a polskie rodziny są zawsze liczne. Istnieje już wiele kolonji robotniczych, liczących po 50 do 100 dzieci i więcej. Pozbawiona szkoły dziatwa wychowuje się na ulicy, gdzie uczy się wszystkiego złego. Ojciec w pracy, a matka zajęta kuchnią, zadowolona, że jej dzieci nie brzęczą za uszami. W Niemczech istniał przymus szkolny, surowo przestrzegany, we Francji również istnieje, ale nie jest wykonywany. Inaczej nawet być nie może, bo wtedy wszystkie dzieci musiałyby iść do szkoły państwowej bezwyznaniowej, podczas kiedy duży procent uczęszcza do szkół wyznaniowych parafjalnych. Rozporządzenia władz szkolnych francuskich nie znają szkół polskich, ale dzieci polskie mają być w szkole francuskiej traktowane na równi z dziećmi francuskiemi. W praktyce jest to niewykonalne, bo szkoły francuskie okazują się za szczupłe, nie były obliczone na taką frekwencję, a powtóre nauczyciele francuscy nie lubią młodzieży polskiej, z którą

mieliby za wiele pracy i chętnie się jej wyzbywają, dzieci zaś francuskie często wprost wrogo się odnoszą do swych rówieśników cudzoziemców, mówiących często między sobą po niemiecku.

W instrukcji urzędowej, odnoszącej się do szkolnictwa polskiego, jest przewidziane, że korporacje pewne, n. p. kopalnie, mogą uzyskać pozwolenie na otwarcie szkoły polskiej, nauczycielami mogą być jednak wyłącznie Francuzi, siły zaś polskie, nawet bez odpowiednich dyplomów, mogą być dopuszczone tylko do pomocy jako »moniteur« »monitrice«. W praktyce nie przedstawia się to tak strasznie. bo faktycznie istnieją szkoły polskie, a nauczyciel francuski czy nauczycielka poprzestaje na jej zwizytowaniu od czasu do czasu, co okazuje się nawet dobrem, bo istnieje pewien dozór nad szkołą. Niestety panuje ogromny brak sił nauczycielskich polskich tak, że kompanje górnicze mimo dobrej woli szkoły polskiej niekiedy otworzyć nie mogą. Oczywiście korzystają z tej okoliczności, by dzieci posyłać do szkoły francuskiej. Z tego powodu pobyt duszpasterza w podobnych warunkach niezbyt przyjemny, bo kompanja nalega, by wpływać na ludność, by posyłała dzieci do szkoły francuskiej, występować zaś z podobną propagandą stanowczo nie można, boby takiego kapłana okrzyknięto zdrajcą. W podobnych trudnościach sam się znalazłem. Ponieważ widziano, że na mój wpływ w tym kierunku liczyć nie można, wybrała się zatem sama nauczycielka francuska po domach polskich, by rodziców nakłaniać do wysyłania dzieci do szkoły francuskiej przynajmniej w czasie wakacji. Spotkała się jednak z nieprzyjemnościami. Przedewszystkiem nie umiała słowa po polsku. Wiedziała tylko, że Polacy bardzo często umieją po niemiecku, a sama przypadkowo wiedziała, co znaczy szkoła po niemiecku, powtarzała zatem wszędy »Schule, Schule«, ale nie mogła się dogadać, aż ją pyta jedna gosposia, czy to »Schule polone czy franse?« Kiedy usłyszała, że »franse«, rzekła, dając jej na migi do zrozumienia: »jak będzie polone, to dzieci pójdą, a jak franse, to nie.« Od tego czasu sama nauczycielka i kompanja przekonali się, że z Polakami nie da się nic zrobić, to też chcą im otworzyć drugą szkołę, o ile znajdą siły nauczycielskie. W sprawie szkolnictwa mówiłem już z attaché polskim w Paryżu przy konsulacie polskim dla spraw emigracyjnych, który odniósł się do władz centralnych do Warszawy, ale ponieważ to sprawa nie z rządem francuskim, ale tylko z prywatnemi przedsiębiorstwami, zdaje się możliwą jest tylko inicjatywa prywatna.

Warunki sił nauczycielskich na miejscu przedstawiałyby się następująco: mieszkanie, światło, opał dostają wolne, pensja wynosi około 400 fr. miesięcznie. Wymagają zaś bezwzględnie: by nauczycielki — bo tylko na siły żeńskie reflektują kopalnie — były niewątpliwie polskiego pochodzenia, by były praktykującemi katoliczkami i pilnowały praktyk religijnych u dzieci, by się nie mieszały w pracę partyjną, tembardziej socjalistyczną lub komunistyczną, oraz by się wzorowo prowadziły pod względem moralnym.

Druga kwestja, którą trzebaby się zająć, to kwestja socjalna. Jakkolwiek robotnikom naszym pod wielu względami dobrze się powodzi, to jednak wiele im także niedostaje. Przedewszystkiem we wielu kompanjach brakuje umywalni. Górnik wprost z kopalni idzie do mieszkania i tu się myje. Praktyka ta kryje bardzo wiele niewłaściwości. Do kopalni ubierają się górnicy lekko, kiedy wychodzą ze szybu spoceni, muszą w tem samem ubraniu wracać do domu, co ich naraża na zaziębienie, zwłaszcza w zimie. W domu składają to brudne ubranie, które tutaj znowu zatruwa powietrze. Najgorsze tu niebezpieczeństwo, to zepsucia moralnego, zwłaszcza zimową porą, kiedy tylko kuchnia jest opalana. Niekiedy odtrącają im z zapłaty, nie podając przyczyny. Jako opał otrzymują tylko miał węglowy. Opieka lekarska bardzo niewystarczająca. Szpitala na miejscu niema, o ile nie jest ciężka choroba lub skaleczenie nadzwyczajne, pozostawieni samym sobie. Jeżeli chory leży w domu, nikt się nim nie zajmie. Podobnie odtrącają im na ubezpieczenie na starość, ale dotychczas nie jest zapewnione, czy będą te zasiłki otrzymywać, obcokrajowcy bowiem we Francji nie mają prawa do takich zasiłków. Niema zabezpieczenia na wypadek choroby i śmierci naturalnej. W tym wypadku mogą żonę z dziećmi wyrzucić na bruk bez żadnej pomocy. Te i tem podobne niedomagania znajdą się zawsze, w których chcieliby robotnicy korporatywnie występować wobec kopalni. Potrzebna jest organizacja zawodowa robotnika.

Do niej zabrali się do tego czasu tylko socjaliści przez swoje związki międzynarodowe z podkładem komunistycznym. Przy różnych okolicznościach mogłem się przekonać o ich niemoralnym wpływie na naszych rodaków. Znaczna część robotników nie ma zamiaru z nimi się łączyć, ale też nie mają żadnej organizacji i żadnej obrony prawnej. Gdyby się dało założyć nową, bezpartyjną, czysto polską organizację

robotniczą zawodową dla obrony prawnej ich interesu, przypuszczam, możnaby bardzo wielu przyciągnąć. Taką organizację mają Belgijczycy, ich centrum pozostaje jednak w Belgji. Dla naszych, zdaje się, nie dałoby się utworzyć czegoś podobnego ze względu na prawa francuskie, zabraniające obcokrajowcom tworzenia organizacji zawodowych. Możeby się dało uzyskać od rządu francuskiego odpowiednie pozwolenie; toby było najlepsze. Inny sposób, to tworzenie sekcyj polskich przy organizacjach francuskich robotników chrześcijańskich, które chcą dać nawet korzystne warunki, jednak dotychczas nie rozwijają żadnej akcji w górnictwie. Między naszymi górnikami istnieje już kilka stowarzyszeń z podkładem nawet zawodowym, n. p. w południowej Francji, inne w Alzacji, zdaje się przeszczepione z Westfalji i tam prawdopodobnie ma swoje centrum; możeby się dało zreorganizować je i rozrzerzyć na całą Francję. Dobrze byłoby, gdyb jakiś kapłan, pracując we Francji między robotnikami, zajął się i pokierował całym ruchem socjalnym na miejscu. Z całą sprawą mógłby się zapoznać doskonale, gdyby brał udział w licznych zjazdach i konferencjach, które robotnicy polscy z całej Francji urządzają między sobą dość często szukając wyjścia z obecnego niejasnego położenia.

Ponieważ z góry misję swoją pojmowałem jako przejściową, jako ekskursję wakacyjną, to też nie mogłem się zająć sprawami na wielką skalę. Nie mogłem niczego organizować, rozpoczynać, bo nie widziałem następcy, choćby był, czyby zechciał kontynuować; poprzestałem na złożeniu sprawozdania i spostrzeżeń Rektorowi misji ks. Szymborowi, by mógł ich udzielić ewentualnemu memu następcy.

Ze swej strony krzątałem się wszelkiemi sposobami, by jak najwięcej czas wykorzystać dla sprawy Bożej i dobra ludu. Co niedzielę w dwóch kościołach dwie Msze św. i dwa kazania, przed nabożeństwem spowiedź, popołudniu albo zebranie robotnicze, albo ćwiczenie śpiewu. Dodać muszę, że nigdy do chóru nie należałem, nie znam się na kontrapunktach, ale ogromnie mi się przydał śpiew z czasów kleryckich w stalach. Z łatwością przypominałem sobie melodję i przy pomocy śpiewnika ks. Siedleckiego, który zabrałem ze sobą, ćwiczyłem śpiew kościelny. Niedziela stanowiła dla mnie dzień bardzo znojny, do śniadania zasiadałem równocześnie z obiadem o wpół do pierwszej. Prawie codziennie przez sześć tygodni uczyłem w szkole katechizmu i przygotowywałem

dziatwę do spowiedzi i pierwszej Komunji św., do której przystąpiło w niedzielę dnia 13-go sierpnia około 30 dzieci.

Przy tej sposobności spotkała mnie niemiła przygoda. Już z góry uprzedziłem ks. proboszcza o dacie pierwszej Komunji św.; w niedzielę poprzedzającą jeszcze mu to przypomniałem i prosiłem, bym przy tej sposobności mógł odprawić Mszę św. z wystawieniem Najśw. Sakramentu. Jakież było moje zdziwienie, kiedy w naznaczoną niedzielę przychodzę do kościoła i spostrzegam na środku katafalk kirem nakryty, cała absyda wielkiego ołtarza również obita kirem, a na świecach trupie główki. Co było robić, ks. proboszcz na sumie odprawiał sobie jakieś nabożeństwo żałobne.

Bardzo często odwiedzałem robotników po domach, by przekonać się o ich położeniu, oraz by wpływać na nich przez rozmowy. Często zdarzało się, że zastawałem kilku mężczyzn piszących listy, grających w karty i t. d. Niekiedy nie można było rozpocząć rozmowy, odpowiadali półsłówkami, spoglądali po sobie z uśmiechem, domyślałem się ich myśli i uczuć. Powoli wypytywałem się o ich niedostatki, wskazywałem środki zaradcze, rozdzielałem gazety, opowiadałem o kraju, języki się rozwiązywały, prosili, by usiąść; wtedy wypowiadali swoje żale, narzekali na rządy w Polsce, na swoją tułaczkę i t. d. Kiedy ich żegnałem, wynosiłem wrażenie, że serca topniały, widzieli, iż nie jestem, za jakiego mnie uważali, burżujem, kapitalistą, ale że czuję się ich bratem. Zdaje się, że dziś w centrach robotniczych, gdzie robotnik uważa kapłana za swego wroga i do niego się nie zbliży, tam kapłan powinien się zbliżyć, powinien zajrzeć pod dach robotniczy, a zmniejszy się przedział między kościołem a klasą robotniczą.

Czas jednak upływał nieubłaganie. 3 września odprawiłem ostatnie nabożeństwa, na pożegnanie dałem ludowi ostatnie wskazówki na czas nieobecności kapłana polskiego, a nazajutrz patrzyłem już tylko przez okna pociągu, spieszącego ku granicy belgijskiej, na znikającą kolonję polską, która znowu została osierocona.*)

---

*) Osierocenie to, jak późniejsze wypadki okazały, nie trwało bardzo długo, bo moje miejsce zajął koło połowy grudnia 1922 r. ks. Masny z naszego Zgromadzenia, a jedną ze szkół tej kolonji i chorymi zaopiekowały się trzy Siostry Miłosierdzia prow. krakowskiej, które udały się tam w połowie stycznia 1923 r. na zaproszenie dyrekcji kompanji górniczej z Ostricourt.

Ks. Paweł Kurtyka C. M.

Misje odprawione przez Księży Konfratrów z Kleparza w roku 1922.

Rok 1922 przyniósł naszej grupie misyjnej zaraz na początku nieprzewidzianą zmianę. Od roku 1920 na Litwie pracowało na misjach dwóch tylko konfratrów, ks. Witaszek, superjor domu wileńskiego i ks. Adam Piasecki. Prośby księży parafjalnych napływały tam z każdym niemal dniem o udzielenie misji. Myśleli ciągle o pomnożeniu sił do mozolnej i licznej pracy; zwrócili się więc o pomoc do Przew. Ks. Wizytatora, a prośba ich nie została bezskuteczną. Dotychczasowego ks. dyrektora misji, ks. Alojzego Odrobinę przeznaczono na dyrektora grupy misyjnej w Wilnie. Na czele zaś naszej grupy stanął długoletni kapelan szpitala św. Łazarza, powszechnie znany i szanowany ks. Stanisław Dudek. Pod jego to egidą mieliśmy wyruszyć na pracę wielkopostną w Poznańskie. Wobec prawie 4 tygodnie trwającej choroby ks. Graczyka, musiał nasz plan uledz małej zmianie. Dnia 4 marca t. j. w sobotę przed I. niedzielą postu wyjechał ks. dyrektor Dudek z rekolekcjami dla robotników fabrycznych do Rakowa pod Częstochową.

R a k ó w o d 5 — 9 m a r c a. Jest to miejsce fabryczne, przed przyłączeniem Śląska największe stalownie w Polsce, pracuje tam przeszło 4000 ludzi. Stan duchowy pozostawiał wiele do życzenia, jak zwykle w miejscu fabrycznem; dużo było najróżnorodniejszych fermentów, socjaliści wzięli górę. Z pewną obawą przystępował ks. Dudek do pracy, bo postawa ludzi była więcej niż obojętna. Sam ks. proboszcz miejscowy, chociaż prosił o rekolekcje, sceptycznie się na to zapatrywał. Pan Bóg jakoś dopomógł. Ks. Dudek razem z ks. proboszczem wpadli na pomysł: »Może będzie dobrze zbliżyć się przed rekolekcjami do czerwonych«. Poprosili więc przywódcę socjalistów na plebanję; przyszedł bardzo

niechętnie. Przedstawił mu misjonarz ważność chwili i prosił o udział. Po namyśle przystał, nawet stał się apostołem; we dwa dni później przyprowadził całą chmarę robotników i rzekł: »jak nas ks. misjonarz prosił, to niech nas teraz wyspowiada«. Sam pierwszy przyklęknął do spowiedzi św. Nabożeństwo uroczyste zarządzone przez ks. proboszcza podziałało na lud zbawiennie, zwolna zaczęły topnieć serca lodowate. Wyspowiadało się przy pomocy sąsiednich księży blizko 3000; żałował ks. Dudek, że już dłużej pracować nie mógł, bo czekała go dalsza praca. Ja zaś nie czekając już uroczystości zapustnych na Kleparzu, podążyłem 23 lutego przez Poznań do Wolsztyna.

Wolsztyn od 25 lutego do 1 marca. Przybyłem z Poznania do Wolsztyna w sobotę 25 lutego w południe. Na dworcu powitał mnie nader gościnny miejscowy ks. proboszcz dziekan Zegarłowski, znany z pierwszej misji w lutym 1914 roku; wtedy to ks. ks. Szymbor, Bieniasz i Witaszek udzielali misji w kościele parafjalnym, ja zaś prowadziłem sam przez 5 dni w kościółku S. S. Miłosierdzia misję dla Niemców. Po 8 latach przybyłem znowu do Wolsztyna, z tą tylko różnicą, że teraz nie uważano mnie za misjonarza niemieckiego. Rozpocząłem pracę na nieszporach w sobotę; we wstępnem kazaniu zwróciłem uwagę na ważność trzech dni zapustnych i obecnych rekolekcji. W następnych trzech dniach głosiłem po 3 nauki; praca w konfesjonale nie ustawała od wczesnego ranka do późnej nocy. Lud okazywał bardzo wielki zapał i garnął się chętnie do spowiedzi św.; w ostatni dzień przybyli księża z całego dekanatu i dzięki ich pomocy przystąpiło do Sakramentu Pokuty św. blizko 3000. Uroczysta generalna Komunja św. odbyła się w środę popielcową. Uroczystą Mszę św. odprawił ks. dziekan; po krótkiej przemowie przystąpili do Komunji św.; na koniec udzieliłem im błogosławieństwa apostolskiego. Chociaż praca trwała tylko 3 przeszło dni, owoc jej, dzięki Panu Bogu, był obfity. Ludzie wracali do domu podniesieni na duchu, powtarzając sobie: »szkoda, że tak prędko minęły te dni«. Ja zaś wróciłem nazajutrz do Poznania, by znowu w sobotę wrócić w te same okolice na dalszą pracę w Dłużynie.

Dłużyna od 5—12 marca. Z Poznania przez Leszno przybyłem w sobotę 4 marca wieczorem do stacji Włoszakowice, gdzie mnie oczekiwał ks. proboszcz Juljan Dembiński. Czy inni Ojcowie pozostali w Poznaniu? Kiedyż

przyjadą? Pytał zdziwiony ks. proboszcz; przecież dwóch lub trzech miało przyjechać do Dłużyny! Wytłómaczyłem, dlaczego sam tylko przyjechałem, a widząc jego zaniepokojenie, zapewniłem go, że porządek w misji zgoła w niczem nie ucierpi, że w poniedziałek wieczorem nadjedzie z Poznania z pomocą ks. Wiśliński. Dłużyna, około 20 klm. na południe od Wolsztyna, wznosi się na małej wyżynie, otoczona od północy i zachodu jeziorami »Bagien Obry«. Kościół romański, dosyć obszerny, gustownie odmalowany, przedstawia imponujący widok. Przed przeszło 100 laty zbudowany, bardzo starannie utrzymany, odrestaurowany przez obecnego, bardzo gorliwego ks. proboszcza. Misje rozpocząłem w niedzielę na sumie; po wstępnem kazaniu ogłosiłem porządek misji. Zaraz popołudniu wyspowiadaliśmy 136 dziewcząt szkolnych; uroczyście przystąpiły do Komunji św. w poniedziałek. Przy pomocy księży kondekanalnych wyspowiadaliśmy z ks Wiślińskim wszystkie niewiasty z parafji a nawet z sąsiednich parafij. Nauki i nabożeństwa dla niewiast skończyły się uroczystą generalną Komunją św, we czwartek rano. Serce nam rosło, na widok mężczyzn gromadzących się na misje; chyba ani jeden nie pozostał w domu Chłopców szkolnych — było ich 122 — wyspowiadaliśmy zaraz we czwartek i urządzili dla nich w piątek generalną Komunję św. Bez trudności wyspowiadali się wszyscy mężczyźni, księża z sąsiedztwa spieszyli chętnie z pomocą. Ks Wiśliński, zmuszony obowiązkami, wrócił do Poznania, chociaż pragnął pozostać na uroczystościach niedzielnych. Dziwny nastrój panował w tym dniu w parafji, dzień to dla nich pamiętny, pełen uroczystości. Dzień prawdziwie wiosenny, pogoda sprzyjała, jakby niebo podzielało z nimi radości; tłumy nadchodziły z daleka i z blizka. Rano odbyła się uroczysta generalna Komunja św. dla mężczyzn. O godz. 10 odprawiłem sumę z kazaniem; przy pięknej pogodzie mogła się wspaniale rozwinąć procesja około kościoła. Ostatnia uroczystość misyjna przypadła na popołudniu. Po »Gorzkich żalach« wyszła procesja z pieśnią »Krzyżu święty« pod stary krzyż misyjny, postawiony przy pierwszej misji w roku 1886; tabliczka miedziana świadczy o drugiej w 1897 roku. Na pamiątkę trzeciej obecnej umieszczono ślicznie wyrzeźbioną tabliczkę dębową. Z pieśnią »Wisi na Krzyżu«, wróciliśmy do kościoła na ostatnie pożegnalne kazanie. Zadowolenie wśród ludu było widoczne; podziwiałem spokojne

jego usposobienie. Gorące uczucia wdzięczności wznosiły się z wszystkich serc do Tronu Najwyższego za liczne łaski; razem z ludem i ja dziękowałem Bogu, powtarzając. »Non nobis Domine, non nobis, sed nomini tuo da gloriam«.

Poznań, parafja św. Łazarza od 19 marca do 9 kwietnia. Z Dłużyny wróciłem do Poznania; tu czekała nas trudna i długa, trzy tygodnie trwająca misja w parafji św. Łazarza. Z Krakowa przybyli trzej konfratrzy: ks. dyr. Dudek, ks. Graczyk i ks. Swałtek z Olczy. Już w listopadzie 1913 r. odprawiali tu dwutygodniowe misje ks. ks. Buchhorn, Szymbor, Witaszek i ja; parafja liczyła wtedy 14.000, dziś wzrosła do 23 albo 25.000 dusz. Należy do niej część miasta i opodal leżący Górczyn; parafjanie grupują się ze wszystkich warstw ludności, począwszy od profesorów wszechnicy a skończywszy na biednym wyrobniku. Przerażające skutki wojny silnie wywołały powszechne niezadowolenie i upadek życia duchowego. Widzieliśmy ludzi szczerze wierzących, gorliwych; nie brakowało jednakże obojętnych, a nawet wrogo usposobionych do Kościoła i duchowieństwa; może nie tyle ze złości, ile raczej dlatego, że dali się porwać falom przewrotnego socjalizmu. Rozpoczęliśmy misję w trzecią niedzielę postu. Mieliśmy trzy tygodnie do dyspozycji, mogliśmy zatem podzielić misję na 4 serje i to: od niedzieli popołudniu do piątku z rana dla matek: od piątku wieczorem do środy z rana dla ojców; od czwartku wieczorem do wtorku z rana dla panien; od wtorku wieczorem do niedzieli dla młodzieńców. Ze względu na przeważną część ludności pracującej w fabrykach, musieliśmy urządzać nauki i nabożeństwa wczesnym rankiem o 5 godz. i późnym wieczorem o godz. 6. Co dzień od 7 godz. z rana do 12 i od 3 do 10 lub 11, a nawet i później byliśmy zajęci słuchaniem spowiedzi św. Wspomnienia godne są dwie uroczystości urządzone w czasie misji. W niedzielę Męki Pańskiej, a zatem po dwóch tygodniach mozolnej pracy urządziliśmy uroczystość oddania parafji pod opiekę Matki Najśw. Dotąd przez cały czas były ciągłe niepogody; dręczyła nas obawa, że uroczystość nam się nie uda, lecz nie traciliśmy ufności. Rzeczywiście Matka Najśw. błogosławiła nam. W niedzielę z rana zapowiadała się pogoda; tłumy napływały około 10 godz., by brać udział w uroczystości. Kościół obszerny objął zaledwie garstkę, większa część musiała pozostać poza kościołem. Wtedy na chwilkę zapomnieliśmy, że to czas

postu i pokuty; zamilkły pieśni postne i pokutnicze. Chór mieszany złożony ze 120 śpiewaków odśpiewywał w towarzystwie muzyki wojskowej najpiękniejsze pieśni na cześć Matki i Królowej naszej. Podczas procesji śpiewał wszystek lud przy odgłosie muzyki »Serdeczna Matko«; byliśmy świadkami, jak wtedy popłynęła niejedna cicha łza, łza dziecięcej wdzięczności za odebrane łaski i łza żalu serdecznego. Gorąco dziękowaliśmy Bogu, bo tylko pomoc Niepokalanej Dziewicy wyjednała tak obfite łaski. W tydzień potem odbyła się druga, również wzniosła uroczystość, oddania parafji Najśw. Sercu Jezusowemu. Niestety, silny i mroźny wiatr nie pozwolił procesji wyjść poza kościół; cała więc uroczystość odbyła się w kościele. Już dobijaliśmy do celu. Popołudniu nastąpiło zakończenie misji. Mimo dokuczliwego zimna przybyły tłumy. Po »Gorzkich żalach« wyruszyła procesja pod krzyż misyjny z r. 1913. Na pamiątkę drugiej misji umieściliśmy starannie wyrzeźbioną dębową tabliczkę. W nader czułych słowach przemawiał po raz ostatni ks. Dudek, wskazując na liczne łaski, których niebo nie szczędziło tej parafji; w końcu pożegnał ks. proboszcza Malińskiego i jego parafjan. Zaraz też opuściliśmy parafję, by choć jeden dzień przeżyć spokojniej w domu św. Józefa i wyczerpani wróciliśmy w wielką środę na Święta Wielkanocne na Kleparz.

Ks. Filip Bibrzycki.

Stosunek ś. p. Papieża Benedykta XV. do dzieł św. Wincentego à Paulo*).

Dnia 22 stycznia b. r. nieoczekiwana wiadomość oznajmia nam o śmierci Jego Świątobliwości papieża Benedykta XV. Wspomnijmy w kilku słowach o tem, co zrobił zmarły papież dla dzieci św. Wincentego. Kiedy na publicznej audjencji w r. 1914 przyjmował Misjonarzy, Siostry Miłosierdzia i Panie Miłosierdzia, mówił: »Jesteśmy szczęśliwi z powodu hołdu, jaki Nam składają trzy rodziny św. Wincentego. Cieszymy się z wszystkiego dobrego, które działają«. Następnie papież zrobił przegląd dzieł tych trzech rodzin i tak kończył: »Bardzo chętnie okazujemy Naszą życzliwość trzem rodzinom i ich najczcigodniejszemu Przełożonemu Generalnemu. Przełożony Gen. jest waszym wspólnym ojcem. Ponieważ jednak nie jest zawsze z wami tutaj w Rzymie, potrzebujecie jakiegoś opiekuna podczas jego nieobecności, otóż waszym opiekunem będzie papież«.

Benedykt XV. nim został papieżem, znał Misjonarzy; On sam wspomniał, że chodził czasem na Montecitorio, aby uczcić św. Wincentego; od czasu swego pontyfikatu okazywał się zawsze bardzo życzliwym dla Misjonarzy; pamiętamy list pisany do najczcigodniejszego Ojca Generała Verdier, aby mu powinszować wyboru na Superjora Generalnego.

Pomiędzy papieskiemi pismami urzędowemi, które odnoszą się do Misjonarzy, wymienić należy na pierwszem miejscu kodeks prawa kanonicznego, zadziwiający swoją dokładnością i jasnością. Dzięki temu właśnie kodeksowi mamy w Kościele jasno określone stanowisko. Nie składając ślubów publicznych, t. zn. przyjętych kanonicznie w imieniu Kościoła przez przełożonego, (brewe Aleksandra VII. formalnie nam

---

*) Annales 1922, Nr. 1 i 2, str. 69 i nast.

tego zabrania), podpadamy pod tytuł XVII. drugiej księgi kodeksu, t. j. należymy do stowarzyszeń bez ślubów publicznych. Niewątpliwie składamy śluby, a śluby te zatwierdzone zostały przez Kościół, lecz kiedy je składamy, nie przyjmuje ich Superjor Generalny kanonicznie w imieniu Kościoła. Wiąże nas pewien kontrakt ze Zgromadzeniem, a Zgromadzenie z każdym z nas, lecz kontrakt ten, nie mając cechy kanonicznej, nie czyni nas zakonnikami (religiosi), ale zostawia nas między klerem świeckim. Nasze Zgromadzenie, jak to mówi kanon 673, nie jest zgromadzeniem zakonnem, (religio) nie jesteśmy zakonnikami, jednakże naśladujemy sposób życia zakonników, żyjąc wspólnie pod władzą przełożonych, według naszych konstytucyj.

Kanon 673 doskonale nas określa; mogłoby się zdawać, iż słyszymy św. Wincentego mówiącego: »Zobaczmy, jaki to jest ten stan, do którego nas Bóg powołał. Czy to jest zakon? Nie, to księża świeccy wchodzą do tego samego stanu, który Chrystus Pan obrał dla siebie, kiedy się wyrzekł dóbr, zaszczytów, rozkoszy... Mówię wam, że to nie jest zakon i że my nie jesteśmy zakonnikami«. (Konferencja z 31 sierpnia r. 1659). Święty dodaje: »chociaż nie jesteśmy zakonnikami, żyjemy jak w zakonie i robimy to samo albo podobne rzeczy, co zakonnicy« (ib.). Żyjemy więc w myśl kanonu 673, wspólnie, pod władzą naszych przełożonych (generalnego, prowincjonalnego, miejscowego), według zatwierdzonych konstytucyj. Były one zatwierdzone w r. 1626 przez arcybiskupa paryskiego, potem w r. 1632 przez bullę »Salvatoris nostri«, w r. 1651 i 1658 przez tegoż samego arcybiskupa paryskiego, któremu papież Urban VIII. w bulli zatwierdzającej Zgromadzenie Misji dał był władzę potwierdzenia reguł, któreby w przyszłości powstać mogły. Nasze Wielkie Konstytucje, a przynajmniej wyciąg z nich, zwany Constitutiones Selectae, zostały zatwierdzone przez Klemensa X. dnia 2 czerwca 1670 r.

Według kanonu 673, 2^0 jesteśmy zgromadzeniem kleryckiem, ponieważ większą część z pomiędzy nas stanowią księża; jesteśmy zgromadzeniem na prawie papieskiem, ponieważ zgromadzenie nasze zatwierdzone zostało przez papieża Urbana VIII. w r. 1632.

Co do zakładania i znoszenia zgromadzenia, jego prowincji i domów kanon 674 stosuje do nas te same przepisy, jakie obowiązują zakony, a więc kanony od 492 do 499.

Kanon 675 postanawia, iż zarząd naszego Zgromadzenia określają konstytucje, każe jednak przestrzegać kanonów od 399 do 530. Nie można tych kanonów brać ściśle co do litery, ale należy je interpretować według ogólnych zasad prawa kanonicznego i według różnego charakteru poszczególnych zgromadzeń, congrua congruis referendo.

Zobaczmy niektóre z tych kanonów. Kanon 500 mówi, że te zgromadzenia podlegają ordynarjuszowi miejscowemu, z wyjątkiem tych, które od Stolicy Apostolskiej otrzymały przywilej egzempcji; otóż taki przywilej mamy od papieża Aleksandra VII. (1655, 1662). Przywilej ten został przyjęty przez św. Wincentego (list do ks. Blatiron i do ks. Jolly z 22 października 1655) i przez Konwent generalny z r. 1666. Kanon 510 każe Przełożonemu generalnemu posyłać co 5 lat sprawozdanie do Stolicy św. Kanon 511 przepisuje wyższym przełożonym wizytację domów im podległych w czasach naznaczonych przez konstytucje. Kanon 512 pozwala biskupom (§ 2, 2⁰) wizytować nasze domy w tem wszystkiem, co się tyczy kościoła, zakrystji, oratorjum publicznego, konfesjonału. Kanon 513 podaje prawa i obowiązki wizytatorów. Kanon 514 orzeka, że przełożeni miejscowi mają prawo udzielać wiatyku i Ostatniego Olejem Namaszczenia swoim konfratrom i tym, którzy mieszkają w ich domu (służbie, wychowankom, chorym, osobom przyjętym w gościnę). Paragraf 4 tegoż kanonu normuje pogrzeby: zwłoki zmarłych konfratrów, seminarzystów, służby prowadzi się do kościoła lub oratorjum domu, a prawo wyprowadzenia ciała i wprowadzenie do kościoła należy zawsze do Superjora. Kanon 515 zabrania tytułów honorowych. Kanon 516 przepisuje radę przyboczną dla wszystkich przełożonych, nakazuje ustanowić prokuratorów generalnego, prowincjonalnych i domowych. Według kanonu 517 musi być prokurator generalny przy Stolicy św. Kanon 518 rozkazuje wyznaczyć spowiedników dla każdego domu, określa ich władzę, podaje sposób zachowania się przełożonego w stosunku do spowiedzi podwładnych. Kanon 519 normuje spowiedź, którą odprawić można przed kapłanem z poza Zgromadzenia. Kanony następne odnoszą się do zgromadzeń żeńskich. Kanon 530 zawiera przepisy co do komunikacji.

Wróćmy teraz do kanonów w tytule XVII. Kanon 676 reguluje administrację dóbr i odsyła do kanonów od 532 do 537. Największe dla nas znaczenie ma kanon 534 odno-

szący się do aljenacji kosztowności i dóbr, których wartość przewyższa 30.000 franków; te same przepisy obowiązują przy zaciąganiu długów i przyjmowaniu zobowiązań ponad wymienioną sumę. Paragraf 3 kanonu 676 postanawia, że wszystko to, co otrzymuje się ze względu na Zgromadzenie (intuitu Congregationis) do Zgromadzenia należy; co do innych dóbr odsyła do konstytucji. Naszemi konstytucjami w tym przedmiocie są brewe Aleksandra VII. (1659) i objaśnienia naszego ślubu ubóstwa przez konwenty generalne, zwłaszcza przez konwent z r. 1747.

Kanon 677 wskazuje, że w przyjmowaniu kandydatów trzymać się należy naszych konstytucyj, dodając do nich tylko kanon 542. Wszystkie więc inne kanony kodeksu, 543 i następne, odnoszą się jedynie do zakonników a nas nie obowiązują; nie stosują się więc do nas przepisy o nowicjacie, nie mamy obowiązku zdawać na kogoś administrację dóbr naszych prywatnych (569), składać śluby trzechletnie przed wiecznemi (574), robić testament przed ślubami (583) i t. d. Wszystko to obowiązuje zakonników, a nie stowarzyszenia objęte tytułem XVII., do których kodeks odnosi tylko kanon 542. Nasze więc konwenty generalne i przełożeni generalni swobodnie mogą wziąć z tych kanonów to, co uważają za pożyteczne dla naszego Zgromadzenia. W takim razie owe przepisy staną się obowiązującemi nie na mocy kodeksu lecz konwentów generalnych albo przełożonych generalnych; miejmy zaufanie do władz naszego Zgromadzenia; niczego oni lekkomyślnie nie postanowią.

Kanon 678 normuje studja i święcenia naszych kleryków. Zaznaczyć trzeba, że nie podlegamy przepisom odnoszącym się do zakonników, lecz tym, które obowiązują kler świecki.

Kanon 679 określa nasze obowiązki, oprócz obowiązków płynących z naszych konstytucyj, zachować winniśmy obowiązki wspólne wszystkim duchownym, o ile z natury rzeczy lub z samej osnowy ustawy coś innego nie wynika i przepisy kanonów od 595 do 612, o ile konstytucje nie przepisują coś przeciwnego. Wspólne obowiązki duchownych nie nakładają na nas niczego nowego, coby już nie było zawarte w naszych Regułach Wspólnych lub w dekretach Konwentów generalnych, z wyjątkiem może pewnych rzeczy, które jeszcze podamy, o ile zajdzie potrzeba. Kanony od 595 do 612 zawierają tylko to, do czego już skądinąd jesteśmy obowiązani.

Na podstawie kanonu 680 przysługują nam przywileje duchownych, zawarte w kanonach od 119 do 123; zachowujemy nadal przywileje udzielone bezpośrednio naszemu Zgromadzeniu. Te przywileje są bardzo liczne; trzebaby tylko odczytać Acta Apostolica in favorem Congregationis. Zaznaczamy, że niektóre z tych przywilejów sprzeciwiają się niektórym kanonom; mimo to zostają nadal w mocy, ponieważ według kanonu 4 przywileje i indulty udzielone przez Stolicę św. pozostają nietknięte, o ile nie byłyby wyraźnie odwołane przez kanony kodeksu.

Przy tej sposobności możnaby się zapytać, czy nie będąc zakonnikami, możemy jeszcze zachować nasz tytuł »Zgromadzenie świeckie« (Congregatio saecularis). Autor artykułu zamieszczonego w miesięczniku »Commentarium pro Religiosis« (II. p. 221—223), odpowiadając na pytanie, które odnosiło się do naszego Zgromadzenia, jakkolwiek go nie wymienił, dochodzi do wniosku, iż si in societate consulentis vota nulla emittuntur, denominatio congregationis saecularis admitti posset. (p. 223). Otóż to właśnie wypadek, który u nas zachodzi: nie składamy ślubów zakonnych t. j. publicznych. Możemy więc prawnie zachować nasz tytuł »Congregatio saecularis Missionis«. Tytuł ten został nam nadany przez Rzym, który też podtrzymuje go w stosunku do nas.

Kanon wreszcie 681 podaje przepisy, jakich trzymać się należy przy przejściu do innego zakonu lub stowarzyszenia, przy opuszczeniu Zgromadzenia i wydaleniu z niego.

Oto w kilku krótkich lecz zasadniczych kanonach nasze prawne stanowisko. Jeszcze raz winniśmy podziękować Jego Świątobliwości Benedyktowi XV. za to, że je tak określił, zgodnie z pragnieniem św. Wincentego i naszych Konwentów generalnych.

Z innych pism urzędowych Benedykta XV. odnoszą się również do Misjonarzy: encyklika »Humani generis« z 15 czerwca 1917 r. o kaznodziejstwie; encyklika »Spiritus Paraclitus« z 15 września 1920 r. o Piśmie Św.; utworzenie wikarjatu apostolskiego w Kan-Chou z 25 sierpnia 1920 r.; utworzenie prefektury apostolskiej Aranki i Tierradentro w Kolumbji; list do ks. biskupa Reynaud z załączoną ofiarą 50.000 lir. na korzyść pewnego misjonarza, zostającego pod szczególniejszą opieką papieża, i t. d.

Papież Benedykt XV. okazywał dla Sióstr Miłosierdzia bardzo wiele życzliwości. Znaną jest jego szczególniejsza

przychylność, jaką darzył obydwie matki gen., Maurice. Ogłaszaliśmy w swoim czasie w Rocznikach te budujące przemówienia, które chętnie wygłaszał do Sióstr odprawiających w Rzymie rekolekcje, jak również opis wizyty, jaką razu jednego złożył szpitalowi św. Marty przy Watykanie. Nie potrzeba przypominać, że to Benedykt XV. błogosławionemi ogłosił Ludwikę de Marillac i Siostry z Arras.

Stanowisko prawne Sióstr Miłosierdzia zostało określone przez kodeks podobnie jak i nasze; one również podpadają pod tytuł XVII. Ich Zgromadzenie również nie jest zakonem (religio), one nie są zakonnicami (religiosae), ale naśladują sposób życia zakonnic, żyjąc wspólnie pod władzą swych przełożonych według konstytucji. Nie będziemy zastanawiać się bliżej nad różnemi kanonami tego tytułu XVII. Wystarcza stwierdzić, że dzięki Bogu i mądrości Kościoła i u nich nie zachodzi potrzeba wprowadzenia głębokich zmian w ich sposobie życia, aby się dostosować do kodeksu. Jest to okoliczność nadzwyczaj ważna, za którą nie możemy dostatecznie podziękować Boskiej Opatrzności.

Ponieważ Papież w allokucji swej z r. 1914 raczył mówić o trzech rodzinach św. Wincentego, wspomnijmy jeszcze krótko o tem, co zrobił dla Pań Miłosierdzia. Ogłaszając Ludwikę de Marillac błogosławioną, tem samem zaszczycił i Panie Miłosierdzia, ponieważ według breve papieskiego jedną z przyczyn chwały Ludwiki de Marillac było miłosierdzie, które świadczyła jako Pani Miłosierdzia. W r. 1917 w trzechsetną rocznicę założenia Bractwa Miłosierdzia, udzielił odpustów na uroczystości, które miano obchodzić z tej okazji i posłał list pełen pochwał dla Pań Miłosierdzia. Można także powiedzieć, że przez swoją wspaniałomyślną hojność, przez swą wieloraką pomoc materjalną i moralną dla jeńców, rannych, zakładników, deportowanych, dał Paniom i Siostrom Miłosierdzia niezrównany przykład miłosierdzia co do ciała i co do duszy, jakie okazywać się winno nieszczęśliwym.

Modlimy się zatem żarliwie o spokój duszy Papieża, który nam dał tyle dowodów życzliwości; prosimy razem z Kościołem, aby ten, który tu na ziemi zajmował miejsce jedynego Syna Bożego, został przyjęty do grona świętych papieży w niebie. Błagamy N. M. Pannę, Królową pokoju, aby uprosiła dla sługi swego spokój wieczny.

KRONIKA.

Warszawa, Konwikt teologiczny.

Od trzech lat nie zamieszczały »Roczniki« żadnego sprawozdania z pracy konfratrów w Konwikcie teologicznym. Chcąc zatem wypełnić tę lukę, przesyłam kronikarskie wiadomości, obejmujące r. 1920, 1921 i 1922.

Wiadomo zapewne czytelnikom »Roczników, że gmach, uzyskany na Konwikt teologiczny, dawny gmach misjonarski, był przeważnie bardzo zniszczony, zwłaszcza w oficynie, zajmowanej przez drukarnię państwową. Pierwszą też niemal troską było, aby tę drogocenną po przodkach naszych spuściznę otoczyć możliwie największą pieczą i uchronić od zupełnej ruiny. Niestety na cel ten Dom nasz nie rozporządzał żadnemi funduszami. Jedynie zabiegi i starania, corocznie podejmowane u rządu, wyjednywały fundusze (1,820.000 mk.), które pozwalały dokonać remontu, przebudowy wewnątrz i zupełnego odczyszczenia bardzo zaniedbanego gmachu. Główne restauracje wewnętrzne dokonane zostały w r. 1919. W następnych jednak latach dokonano urządzenia kolejnie skrzydła, gdzie mieszkają razem konfratrzy, a oddzielnie od reszty domu i skrzydła względnie oficyny, gdzie mieszkają księża studenci. Urządzenie oddzielnie mieszkania dla Misjonarzy okazało się w skutkach ogromnie praktyczne, umożliwiające nie tylko wydatniejszą pracę, ale i zachowanie reguł oraz praktyk Zgromadzenia. W obrębie mieszkań księży studentów dokonano z biegiem czasu przebudowy pokoji wspólnych na pojedyncze pokoiki tak, że obecnie do dyspozycji mamy 40 oddzielnych pokoików dla księży konwiktorów, którzy tę rekonstrukcję przyjęli, rozumie się, z wielkiem uznaniem. Do ważniejszych jednak aktów w celu zabezpieczenia gmachu od zniszczenia, należy bezsprzecznie naprawa dachu, który okazał się zupełnie zniszczonym, W r. 1921 położono

na skrzydła od Krakowskiego Przedmieścia oraz od frontu od ul. Traugutta papę na istniejącą tam blachę cynkową, ale bardzo już popsutą. Położenie nowej blachy cynkowej w r. 1921 kosztowałoby było kilka miljonów mkp., co naturalnie było niemożliwem. Tymczasowo więc dach na kilka lat został ochroniony, aż lepsze czasy zdołają umożliwić położenie blachy cynkowej. Lepiej udało się zabezpieczyć dach nad oficyną, stanowiącą zabytek architektoniczny z XVII. wieku, dotychczas zupełnie niezmieniony przez następne przebudowy. W r. 1922 ułożono dachówkę »karpiówkę«, która przynajmniej na lat 50 ubezpieczyła zupełnie dom. Tyle o stronie materjalnej domu.

Niestety nie całym gmachem dotychczas możemy rozporządzać. Cały bowiem parter od ul. Traugutta (8 wielkich sal i aulę) zajmuje prywatne gimnazjum im. św. Stanisława Kostki, które uzyskało od Min. W. R. i O. P. pozwolenie na zajmowanie tej części gmachu na czas nieograniczony. Skutkiem tego zajęcia gmachu Konwikt teologiczny ma uniemożliwione warunki rozwoju. Starania bardzo nawet usilne z naszej strony w celu zmienienia sytuacji, wskutek braku poparcia ze strony czynników miarodajnych, nie odniosły pożądanego skutku. Użytkowanie także pewnej części gmachu przez wydział teologiczny Uniwersytetu Warszawskiego, acz znacznie bliższy celom Konwiktu teologicznego, będzie musiał w przyszłości ulec pewnym określeniom, kiedy Bóg da, że odzyskamy prawo własności domu.

Z a d a n i e m   g ł ó w n e m w tym Domu jest prowadzenie Konwiktu dla księży, którzy już po ukończeniu Seminarjum duchownego przybywają na Uniwersytet Warszawski, głównie na wydział teologiczny, choć nie wyłącznie, aby tu specjalizować się w różnych dziedzinach wiedzy. Księży tych w poprzednich latach (1920—1922) było równo 40. W tym roku szkolnym 1922/23 jest tylko 36 (i ta cyfra ulega ciągłej fluktuacji). Zmniejszenie liczby księży konwiktorów spowodowało to, że J. Em. ks. kard. Kakowski tym księżom swej archidjecezji, którzy są na IV. roku teologji, pozwolił zamieszkać na mieście i spełniać obowiązki tak duszpasterskie, jakoteż prefektów w szkołach. Liczba jednak słuchaczy na wydziale teologicznym znacznie się pomnożyła przez to, że księża prefekci warszawscy otrzymali pozwolenie wpisania się na wydział teologiczny i uczęszczania na wykłady. Utrzymanie jednak księży konwiktorów nastręcza nadzwy-

czajne trudności z powodu dotkliwej dla wszystkich drożyzny i spadku niezwykłego waluty. Wystarczy dla ilustracji zaznaczyć, że w r. 1919 utrzymanie dzienne jednego księdza kosztowało 10 mkp., a obecnie (1922) 2000 mkp., a zatem dwieście razy więcej. Ponieważ księża studenci utrzymują się ze stypendjów mszalnych, a tych dziś jest coraz mniej, więc kwestja utrzymania Konwiktu przedstawia się jak dotąd, niezmiernie przykro. Były momenty, że już prawie trzeba było myśleć o zwinięciu tego pożytecznego, a tak bardzo duchowi naszego powołania odpowiedniego dzieła, gdyby w krytycznej chwili starania u różnych czynników, tak rządowych (Min. pracy i opieki społ.), jakoteż prywatnych, nie były przyniosły pomocy. Ciągła jednak troska o sprawy natury materjalnej nietylko bardzo wyczerpuje, ale i odrywa umysł od uwagi na rzeczy natury duchowej. Zdaje się jednak, iż czasy najkrytyczniejsze już przeszły, a Opatrzność Boża, pozwalając na nasze troski, czuwa, aby dzieło św. Wincentego, założone »ad cleri disciplinam«, nie upadło.

Studja teologiczne na wydziale teologicznym w Warszawie były w ostatnim czasie podzielone na 6 działów, a mianowicie: dogmatyki, biblicum, moralnej, historji Kościoła, prawa kanonicznego i filozofji. W każdym dziale przedmiot główny i uzupełniające dawały tygodniowo około 18 godzin wykładów obowiązkowo.

I w tym kierunku, t. j. naukowo, nie obyło się bez trudności. Księża bowiem w nieszczególnych warunkach odbywali nauki w seminarjach dlatego po największej części do nauki o poziomie uniwersyteckim nieprzygotowani. Brak metody pracy naukowej, brak znajomości języków, tak dawnych jakoteż i nowych, bardzo daje się we znaki. Trudności te jednak praca profesorów głównie szczęśliwie pokonywa tak, że z końcem roku szkolnego, a więc w czerwcu 1922, rektor Uniwersytetu mógł dwom pierwszym doktorom prawa kanonicznego wręczyć dyplomy doktorskie.

Pod względem dyscypliny nie jest nalepiej. Po większej części studjujący księża są to księża starsi (przeciętnie 10 lat kapłaństwa), którzy już spełniali samodzielnie obowiązki duszpasterskie jako proboszczowie lub prefekci szkół, przywykli więc do zupełnej samodzielności, a odwykli od krępowania się regulaminem i przepisami Zakładu. Stan ten jednak ustawicznie się polepsza i jest nadzieja, że będzie coraz lepszy.

W Konwikcie teologicznym mieszka 5 księży Misjonarzy i 3 braci. Z księży jednak tylko dwóch zajętych jest bezpośrednio kierownictwem Zakładu: rektor i prokurator, inni mają swoje odrębne zajęcia.

Oprócz jednak stałych swoich zajęć, związanych z urzędem i stanowiskiem każdego, spełniali konfratrzy inne dobrowolnie przyjęte obowiązki duszpasterskie. Oto pewne zestawienie w skróceniu tych prac:

Ks. Józef Gaworzewski, oprócz spełniania obowiązków rektora Konwiktu, zastępowania urzędu Ojca duchownego przez głoszenie konferencji do księży studentów, podjął się obowiązków spowiednika zwyczajnego w dwóch domach SS. Miłosierdzia, a w jednym jako spowiednik nadzwyczajny, oraz na życzenie Kurji metropolitalnej był spowiednikiem jednego ze Zgromadzeń zakonnych.

Nadto w r. 1920 głosił następujące rekolekcje: 18/2 trzydniowe rekolekcje w Seminarjum duchownem w Warszawie, 13/5 ośmiodniowe rekolekcje dla Sióstr Miłosierdzia w Domu Głównym w Warszawie na Tamce, 3/7 rekolekcje dla Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie na Pomorzu, 9/8 rekolekcje trzydniowe dla Dzieci Marji w Poznaniu w Domu św. Józefa, 15/9—24/9 rekolekcje dla OO. Paulinów w Częstochowie, 21/11 rekolekcje dla Stow. Dzieci Marji w Wolsztynie, 28/12 rekolekcje w Zakładzie p. Wołowskiej w Warszawie. Kazań pojedynczych wygłosił około 40.

W roku 1921 dawał rekolekcje 16/1—24/1 Siostrom Miłosierdzia w Warszawie, 19/2 dla Sodalicji urzędniczek pocztowych, 27/2 dla Tow. Pań Miłosierdzia w Poznaniu, 6/3 dla Tow. Pań Miłosierdzia w Środzie, 6/11 dla Tow. Pań Miłosierdzia w Pleszewie, 10/11 dla Tow. Pań Miłosierdzia w Żegocinie, 15/12 dla Stow. Dzieci Marji w Gnieznie,

W roku 1922 przewodniczył rekolekcjom 11/3—15/3 w szpitalu Wolskim im. św. Feliksa w Warszawie, 21/3—25/3 dla Stow. Dzieci Marji w kościele św. Krzyża w Warszawie, 31/3—3/4 dla Stowarzyszenia telefonistek w kościółku Dzieciątka Jezus przy ul. Moniuszki w Warszawie, 4/3 w Sanatorjum dla piersiowo chorych w Rudce, 25/6—3/7 dla Sióstr Miłosierdzia w Warszawie na Tamce.

Poszczególnych kazań wygłosił około 50.

Nadto od r. 1920 prowadzi Stow. Dzieci Marji w Czerwiakowie, a od r. 1921 kieruje tamże Stow. Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo.

Ks. Wilhelm Michalski spełnia obowiązki profesora pisma św. star. zak, na wydziale teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Nadto przez trzy lata (1918—1921) uczył trzy godziny tygodniowo w Seminarjum metropolitalnem w Warszawie, wykładając również Stary Testament. W r. 1919 i 1920 miał po 25 wykładów, a w r. 1921 50 wykładów na kursach katechetek, urządzonych staraniem Katol. Związku Polek. W r. 1922 każdego piątku czytał i wyjaśniał przez 1½ godziny Nowy Testament w myśl rozporządzenia papieża Benedykta XV. dla nauczycieli i nauczycielek w Seminarjum Związku niewiast katolickich. Jako kierownik duchowny pracował w założonem »Kole studjów katolickich«, gdzie co 2 tygodnie miewał krótkie wyjaśnienia Nowego Testamentu, oraz wygłosił szereg referatów o modlitwie myślnej, o stosunku nauki teologji do nowoczesnych badań i odkryć.

W przeszłym też roku udało mu się rozbić lożę masońską, należącą do t. zw. Państwa św. Ewangelji, założonego przez Rudolfa Steinera. Na miejsce loży założono Towarzystwo katolickie, którego ks. Michalski jest prezesem i gdzie co 2 tygodnie wygłasza referaty celem rozbudzenia ducha katolickiego.

Jako współpracownik zasilał swemi pracami naukowemi »Przegląd powszechny«, »Przegląd teologiczny«, «Miesięcznik katechetyczny« i »Przegląd judaistyczny«.

Znalazł jednak poza swojemi obowiązkami zawodowemi czas na spowiadanie Sióstr Miłosierdzia w 4 Domach warszawskich, a co niedziele i święta odprawiał Mszę św. w Zakładzie wychowawczym im. Boduena i głosił nauki tamże.

W roku 1920 dawał rekolekcje Siostrom Miłosierdzia w Poznaniu (w lipcu). Od roku zaś 1918 dawał rekolekcje Siostrom Miłosierdzia w Warszawie cztery razy. Ostatni raz w sierpniu 1922 r. Raz przewodniczył rekolekcjom PP. Kanoniczek w Warszawie.

Ks. Jan Weissmann, mieszkając w Konwikcie teologicznym, dochodzi do Seminarjum archidjecezjalnego, gdzie spełnia zwykłe obowiązki Ojca duchownego, a więc całe kierownictwo duchowne około 120 kleryków Seminarjum duchownego. Głosił więc w Seminarjum rekolekcje wstępne od r. 1919—1922, rekolekcje 4 razy rocznie przed święceniami. Nadto od roku szkolnego 1921/22 ma w Seminarjum duchownem trzy godziny tygodniowo lekcji liturgji i rubryk

i 1 godzinę dla najwyższego kursu ćwiczeń liturgicznych praktycznych. Układa stale rubrycele dla prowincji polskiej Zgromadzenia Księży Misjonarzy, dla archidjecezji warszawskiej od roku 1921 i dla PP. Sakramentek od roku 1921, djecezji łódzkiej na rok 1922, prowadzi Stow. Dzieci Marji w Zakładzie wychowawczym od roku 1920, w Domu Sióstr Miłosierdzia przy ul. Ogrodowej od listopada 1921 r. Spowiada stale od roku 1919 w 4 Domach Siostry Miłosierdzia, a w roku 1922 w pięciu.

W roku 1920 dawał rekolekcje (25/1 – 2/2) Siostrom Miłosierdzia w Warszawie, a od 14 3—17/3 również na Tamce dał rekolekcje dzieciom w Zakładzie św. Kazimierza. W tymże roku głosił nauki pasyjne w poście w kaplicy szpitala Dzieciątka Jezus. W roku 1921 przewodniczył ćwiczeniom duchownym od 10/2—12/2 w Zakładzie św. Trzech Króli przy ul. Ogrodowej, 21/2—24/2 w parafjalnym kościele św. Krzyża, 27/2—4/3 w szpitalu Wolskim św. Feliksa, 5/5—13/5 u Sióstr Miłosierdzia na Tamce, 5/7—13/7 u Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu, 21/8—29/8 u Sióstr Miłosierdzia we Lwowie. Kazania pasyjne wygłaszał w czasie postu w tym roku u św. Kazimierza na Tamce. W r. 1922 udzielał rekolekcyj 23/4—30/4 Siostrom Miłosierdzia w Warszawie, 20/8—23/8 Siostrom Miłosierdzia we Lwowie, 25/3 – 27/3 w Zakładzie dzieci na Tamce.

Nadto wygłaszał kazania okolicznościowe, n. p. w roku 1921 w kościele św. Krzyża, PP. Wizytek, kaplicach Sióstr Miłosierdzia, spowiadał młodzież szkolną w różnych Zakładach Sióstr Miłosierdzia i t. p.

Ks. Józef Sowiński, mieszkając w Konwikcie teologicznym, spełnia doniosłe i bardzo odpowiedzialne obowiązki dyrektora Sióstr Miłosierdzia prow. Warszawskiej.

Ks. Lucjan Wilhelmy objął od 15/1 1020 po ks. Konstantym Witaszku obowiązki prokuratora Konwiktu teologicznego. Aprowizacja Zakładu w czasach bardzo ciężkich wojennych i powojennych, trudna i wymagająca wielkiej zapobiegliwości, była przedmiotem troski nowego prokuratora. Poza temi zadaniami oddawał w miarę możności różne posługi duchowne i tak w r. 1921 dawał (10/3—13/3) rekolekcje dla służby szpitalnej u św. Feliksa na Woli, a od 16/3 – 19/3 takież rekolekcje w szpitalu filjalnym Dzieciątka Jezus przy ul. Złotej. W r. 1921 udzielał rekolekcji w Zakł. św. Kazimierza na Tamce (21/2—25/2), oraz w Zakł. im.

św. Wincentego przy ul. Ordynackiej (4/3—7/3), również dla dzieci. Nadto głosił sporadycznie różne nauki po kościołach i kaplicach w Warszawie. W roku 1922 przewodniczył rekolekcjom w Szwalni NMP. dla dzieci tego Zakładu przy ul. Starej w Warszawie (7/3—9/3), w gimnazjum Górskiego (13/3—15/3), w Zakł. św. Teresy przy ul. Lipowej (27/3—29/3) i w żeńskiej szkole neo-humanistycznej Rybickiej (30/3—1/4).

Tak mniej więcej przedstawiają się w skróceniu prace nasze w Konwikcie teologicznym.

Zaznaczyć chyba jeszcze wypada, że nasz Zakład, jako położony w centrum miasta, stał się faktycznie ośrodkiem życia kapłańskiego. Tu zjeżdżają przeważnie księża Biskupi i odbywają swoje konferencje. U nas odbywają się zazwyczaj wszelkie zjazdy, narady zrzeszeń kapłańskich. A nawet świeckie zebrania o charakterze katolickim u nas się odbywają, jak n. p. niedawno zjazd katolickiego Stowarzyszenia akademickiego p. t. Odrodzenie.

Oby to wszystko, co się u nas dzieje, czy przy bezpośrednim naszym udziale czy tylko pośrednim, wyszło na chwałę Boga przez szerzenie i ugruntowanie w kapłanach tak głębokiej wiedzy jako też prawdziwej cnoty!

Warszawa, dnia 10 stycznia 1923 r.

Ks. Józef Gaworzewski.

Itayopolis, dnia 8 maja 1922 r.

Wielka i nadzwyczaj ruchliwa kolonja polska w Itayopolis (Lucena) obchodziła dnia 8 maja r. b. dwie wielkie, ważne i rzadkie uroczystości, a osobliwie dla luceniaków, gdyż oprócz odpustu dorocznego ku czci patrona miejscowego kościoła, św. Stanisława biskupa-męczennika, odbyło się w tymże dniu poświęcenie nowego kościoła, który jest wspaniałą ozdobą obszernej okolicy oraz chlubą i namacalnym dowodem i świadectwem żywej wiary i ofiarności miejscowej ludności, która na zbożne i wogóle na wszelkie szlachetne cele jest nader hojną i naśladowania godną, bo dzięki tejże ofiarności, jak niemniej troskliwości, zabiegom i przedsiębiorczości miejscowego proboszcza ks. J. Kominka, kościół w Itayopolis jest nietylko żywem świadectwem wiary i ofiarności ludu polskiego — jest on zarazem pomnikiem kultury naszej narodowości na ziemi brazylijskiej.

Na konsekrację tego kościoła miał zjechać Najprzew. ks. biskup z Florianopolis, ale ponieważ w tymże czasie na terytorjum granicznem między stanami Parana i Santa Catharina były wybuchły polityczne zamieszki, przeto ks. biskup w samą wigilję uroczystości odwołał swój przyjazd telegraficznie, a równocześnie delegował jednego z polskich księży Misjonarzy, aby w zastępstwie biskupa dokonał poświęcenia prowizorycznie, w czem go godnie zastąpił najstarszy wiekiem Misjonarz. Przew. ks. Bayer, proboszcz z Thomas Coelho. Przy tej ceremonji asystowało mu kilku polskich księży Misjonarzy i jeden Ojciec Franciszkanin, Wieleb. ksiądz Stroka, proboszcz z Indayal-Pinheiro, który, aby wziąć udział w tych uroczystościach w Itayopolis (w Itayopolis się wychował, gdzie żyje jego matka i dalsze rodzeństwo) z p. Wł. Korcem, nauczycielem w Indayal-Pinheiro, konno i w deszczu przedzierał się przez puszcze i bory, błąkając się w ten sposób przez 3 dni i 3 nocy.

W wigilję przed poświęceniem nowego kościoła miał kazanie ostatnie w starym kościele, żegnając go w imieniu parafjan, przełożony księży Misjonarzy, Przew. ks. J. Rzymełka, który również w samąż uroczystość po poświęceniu nowego kościoła, pierwszy i pierwsze w nim wygłosił donośnym głosem kazanie obfitej treści do bardzo licznej ludności, która pomimo deszczu z dalekich stron przybyła.

Rozczulające było to, gdy po nabożeństwie ludność luceńska, wychodząc z nowej świątyni Pańskiej, tak wspaniałej na zewnątrz, a tak cudnie i pięknie wewnątrz wymalowanej, w której, począwszy od marmurowych balasek, aż do szczytu gotyckiego sufitu, wszystko to pokryte malaturą gustownie, z artyzmem, szła pożegnać jeszcze raz stary kościółek, tego wiernego przyjaciela, u którego przez wiele lat goiła rany duszy i szukała pociechy w doczesnych ziemskich kłopotach.

Zjechał do Itayopolis z Kurytyby na te uroczystości powszechnie znany i lubiany Dr. Szeligowski, który będąc zachwycony wszystkiem, co tu widział, nie mógł się powstrzymać, aby, wstąpiwszy na stopnie starego kościoła, nie przemówić do tysiącznej rzeszy rodaków, wyrażając im słowa uznania za to, co już zrobili dla chwały Bożej i chluby swej narodowości i zachęcając ich, aby i na przyszłość w podobnej pracy nie ustawali.

Guarany (Wyjątek z listu ks. J. Wróbla z dnia 25 czerwca 1922).

Choć kilka słów, bo na obszerniejszy list brak mi na razie czasu. Po kilkotygodniowej nieobecności wróciłem wreszcie do domu. Bawił w parafji naszej Najprzewiel. ks. biskup Dom Hermeto, który objeżdżał swoją djecezję. Pomiędzy nami bawił od 25 maja do 1 czerwca; z Guarany wyjechał do parafij niemieckich, aż wreszcie zakończył swą podróż wizytacją w Santo Angelo, które od przybycia mego przyłączył do mojej jurysdykcji. W Sto Angelo bawił tydzień z okładem. Zaraz po ukończeniu wizytacji w Guarany musiałem ruszać do owej miejscowości, aby jako tako przygotować ludzi na przyjęcie tak rzadkiego gościa, zwłaszcza, że jest to miejscowość pod względem duchowym bardzo opuszczona i zaniedbana. Zrobiłem, co mogłem. Z końcem przyszłego miesiąca t. j. lipca dostanie Sto Angelo swego stałego proboszcza. Chwała Bogu, że ja tam dojeżdżać już więcej nie będę musiał. Wprawdzie jeszcze tam raz być muszę, aby załatwić formalności z nowym proboszczem, lecz na więcej razy jużbym się nie zgodził. W zamian za Sto Angelo chce nam ks. biskup oddać parafję Campinos. Ludność w tej parafji jest w przeważnej części niemiecka, ale i spora garstka naszych rodaków jest pomiędzy nią rozproszona. Jeżeli to dojdzie do skutku, to do naszego duszpasterstwa należeć będzie szmat ziemi, bo przeszło 100 klm.^{2} wynoszący. Granicą parafji stanie się rzeka Uruguay. Już mi definitywnie to powiedział ks. biskup w czasie pobytu swego tu w Guarany, ale kazał mi mieć jeszcze trochę cierpliwości, bo w owem Campinos jest ks. Kaiser, Niemiec, dla którego inne musi znaleźć miejsce.

Najgorętszem życzeniem ks. biskupa jest, aby się tu Misje św. odprawiły, bo innej drogi niema, aby parafja tutejsza po takich burdach i z takiego zabagnienia do nowego powstała życia. Już nie wiem, jakiego użyć sposobu, aby tylko ład i pewną zaprowadzić harmonję. Morderstwa zdarzają się prawie co dnia, no a pijaństwu tamy położyć nie można. Sami koloniści uprawiają trzcinę cukrową i ciągną z niej wódkę i niezmiernie trudno przeszkodzić temu. Chcę w październiku przed św. Teresą urządzić triduum, któreby niejako pierwszy stanowiło krok do urządzenia Misyj św. w roku przyszłym. Jeżeli tylko konfratrzy mnie nie zawiodą,

to mam niezłomną nadzieję, że z naszą pracą posuwać się będziemy naprzód. Kazał też ks. biskup zająć się budową nowego kościoła, bo ten obecny stanowczo za mały i runięciem też już zagraża. Jak to zrobić i jak to rozpocząć, zwłaszcza przy takich opłakanych stosunkach, nie umiem wyrazić.

Ponieważ większa część parafjan do kościoła nie chodzi i nas nowych księży jeszcze nie widziała, muszę urządzić zebrania po kolonjach, rodzaj wieców, aby zaznajomić się z nimi. Myślimy to rozpocząć z końcem lipca, aby ich oswoić i przekonać, że jedynie dobra ich pragniemy. Proszę bardzo o pamięć w modlitwach, bo to naprawdę nie żarty z takimi żyć i nad takimi pracować ludźmi.

Jeszcze przypomniał mi się ks. biskup. Chce i to koniecznie mieć jeszcze jakiego Misjonarza w Guarany. Przydaćby się przydał, bo roboty na dwóch stanowczo za dużo, ale mieszkania nie mamy odpowiedniego. Sami ściskamy się jak możemy, ale jeżeliby Najczcig. Ojciec uwzględnił życzenia Ekscelencji, to pomieścilibyśmy się jako tako. Będziemy mieszkać jak w Seminarjum, bo sypialnia i pracownia wspólna.

Bruay. (Z listu S. Kazimiery Kromolickiej do S. Wizytatorki w Chemnie z d. 4. VII. 1922 r.)

Odzywam się do Najczcig. Siostry Wizytatorki, aby jej znów cośkolwiek donieść o naszem Bruay. — W uroczystość Serca Jezusowego mieliśmy tu poraz pierwszy pierwszą Komunję św. dzieci polskich. Dotychczas odbywała się ta uroczystość w innych miejscowościach kolonji naszej. Dzieci, których było 42 (chłopcy i dziewczynki), zgromadziły się na naszem podwórzu i ze sztandarem polskim na czele wprowadził je ks. Helenowski do kaplicy naszej ze śpiewem »Kto się w opiekę«, dzieciaczki pobożnie się zachowały, ze skupieniem gotowały się do tego ważnego aktu. Po Mszy św. wypiły wspólnie śniadanie, w jednej z polskich sal w mieście dostały kawy z plackiem. Dla uświetnienia uroczystości przyszła poczciwa S. przełożona, był ks. Helenowski, no i moja niegodność, potem dzieci śpiewały po polsku, po francusku, a na koniec »Nie rzucim ziemi«. Szkoda, że pogoda nie sprzyjała, lało ogromnie, no, ale to może i błogosławieństwo Boże, bo ziemia była bardzo spragniona. Dzieciaczki,

a zwłaszcza dziewczęta, gromadzą się u mnie, w czwartki i niedziele, uczę je śpiewać nowych polskich piosenek, bo to moja przyjemność! To też umieją dużo, dużo piosenek. — Popołudniu w dzień pierwszej Komunji św. było błogosławieństwo, a po niem zgromadziłam jeszcze dzieciarnię w naszem podwórzu i Siostra przełożona, która kocha Polaków, dała im łańcuszki z medalikiem na szyję, a odemnie dostały karmelków, różańce, obrazki. Nadzwyczaj uradowane wróciły do domów swoich.

Procesja Bożego Ciała odbyła się również wspaniale, dzięki obecności Polaków. Dodać muszę, że tutaj, w Bruay, ludność francuska jest bardzo obojętna co do rzeczy wiary naszej. Mężczyzn bardzo mało uczęszcza do kościoła, nie praktykują wcale — zdarza się często, że, idąc do ślubu, przystępują po raz pierwszy do Komunji św. Większa zaś część żyje bez ślubu kościelnego. Dla naszych rodaków to okropne zepsucie... który dobry, no, to z pomocą Bożą dobrze się trzyma, ale jest ich spora liczba, co naśladują niestety te gorszące przykłady i sami podobnie żyją. Jednak na ogół Polacy mają wiarę, przychodzą do kościoła, a w procesji wzięli tak liczny udział, że Francuzi budowali się ich pobożnością. Otóż taki był porządek procesji: Nasamprzód szły dzieci francuskie, poubierane za aniołków, za Joannę d'Arc, za Bernadetkę i t. p. cały sznur... pięknie wyglądały różańce z papierowych, dużych róż w kolorach stosownie do części różańca, niesione przez dzieci. I tak tajemnice części chwalebnej były przedstawione kolorem żółtym, bolesne fioletowym, radosne czerwonym. Jedną taką część różańca niosło ze 6 dziewczynek, ubranych stosownie do koloru tajemnic. Za temi dziećmi niósł celebrans monstrancję, a za P. Jezusem szła »Polska«! Najprzód dzieciaki: z prawej strony dziewczęta, z lewej chłopcy z chorągwiami polskiemi średniej wielkości, za niemi Kazimiera, za mną zaś sztandar z orłem polskim, a za nim matki i wogóle kobiety polskie, a wreszcie za niemi robotnicy polscy w ogromnie dużym sznurze — ślicznie to wyglądało. Ks. Helenowski z chłopami się uganiał, utrzymując porządek. Przytem »nasza wiara« śpiewała »Twoja cześć chwała«, »U drzwi Twoich« i t. d. Tu w Bruay nie było na procesji ani muzyki, ani Francuzi nie śpiewali wiele, tylko tak szli. Dopiero jak nasi zarykli »Twoja cześć chwała«, to aż człek był dumny, że do tego, wierze wiernego narodu należy. Długa to była procesja. a po

skończonej uroczystości wróciliśmy wszyscy, Polacy w tym samym porządku, do naszej kaplicy i tam przed kaplicą zaśpiewaliśmy aż grzmiało »Boże coś Polskę« jedną zwrotkę, a wreszcie rozeszli się. Coraz więcej zapoznaję się z moimi rodakami — tylko szkoda, że przeważna część jest bardzo rozrzucona po tej miejscowości, W najbliższym czasie, 19-go lipca, będą imieniny tutejszego księdza-Polaka. Zajęłam się przygotowaniem małych niespodzianek, żeby uczyć młodzież szacunku dla kapłanów.

Nasza kolonja oczekuje przybycia ks. Szymbora. Ciekawa jestem, jak jemu się powodzi i jak jest zadowolony. Dzień po dniu tak mi upływa, że ani się nie spostrzegam, a tu już znowu sobota. Teraz w domu czynimy przygotowania na 50-letni jubileusz jednej z naszych poczciwych Sióstr staruszek. Jeszcze pracuje w kuchni, ogromnie pilna i dziwna rzecz, choć sterana długoletnią pracą w kuchni, jednak jest nadzwyczaj cierpliwa, grzeczna, uprzejma. Uczę małego baletu dziewczątka francuskie, a również i Polaczki zatańczą tej miłej jubilatce. Widzi więc ukochana Matka, że mi się tu nie nudzi, bo zajęcia wszelkiego rodzaju nie braknie. Ale już najwięcej życia, to w poliklinice przy opatrunkach! Okropny ruch — ileż to rannych. Zdziwi się Najczcig. S. Wizytatorka na wiadomość, że S. Kazimiera zeszywa uszy, wargi, czoła rozpłatane. Dzięki Bogu leczą się te operacje. Tutaj bowiem doktorzy nie skończyliby wcale, gdyby takie rzeczy załatwiać mieli. Pozostawiają więc Siostrom. Naprawdę, można nabrać tu doświadczenia. Popołudniu znowu gram rolę doktora, odwiedzając chorych. Bo cóż ci biedacy mają zrobić? Nic nie rozumieją po francusku; nadto kiedy spotkam się z doktorem u chorego lub chorej w domu, trzeba więc coś poradzić, przetłómaczyć, pocieszyć wreszcie. Nieraz sobie myślę, że choćbym się i potroiła, to jeszczeby to nie zawiele było! Bozia jakoś błogosławi, daje siły duszy i ciała. Nasza poczciwa S. Przełożona pojechała dziś na rekolekcje do Paryża; na dworzec ją odwiozłam — bardzo to zacna, pobożna dusza. Pokochała mnie od pierwszej chwili, ja ją też rozumiem i cenię jej cnotę, dziękując Bogu, że mam taką dobrą Służebną. Tutaj, doprawdy, w tym domu wyjątkowa harmonja panuje — rodzinne życie, bo nasza poczciwa Przełożona, to bardzo pokorna duszyczka, uważająca towarzyszki za swoje siostry. — Dnia 18 listopada zaczną się moje rekolekcje w Paryżu — cieszę się bardzo na nie; może będę miała to szczę-

ście być na 27 list. w domu macierzystym. Za moją Matkę ukochaną w Chełmnie modlę się gorąco i za całą prowincję, której członkiem przecież się czuję.

Z listu z dnia 5 września 1922.

Najczcigodniejsza Siostro Wizytatorko! Ł. P. n. J. Chr. n. z. b. z n. — Najserdeczniej dziękuję Najczcigodniejszej Siostrze Wizytatorce za jej kochany, miły, własnoręcznie pisany list. Co to dla mnie za radość, jak zobaczę pismo mojej ukochanej Matki. Dziś miałam taki miły deser. Co do mnie, chwała Bogu, jestem zdrowa, szczęśliwa; moich kochanych compatrjotów - rodaków kocham serdecznie, a oni, doprawdy, z całem zaufaniem zwracają się do mnie. Jakaż to śliczna misja móc przychodzić w pomoc tym biedakom. Ogromnie wiele przychodzi ich do opatrunków — po części garną się do mnie, a niektórzy, spostrzegłszy czasem, że mnie niema przy opatrunkach, wychodzą i przyjdą wtedy, kiedy jestem w domu. Zapewne Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka dostała moją kartę z Boulogne. Byliśmy tam z wycieczką: polskie dzieci, kilku chorych górników, ks. Helenowski i ja z jedną Siostrą i panną francuską. Dwa dni byliśmy tam; dzieciarnia ubawiła się niemało. Spali w jednej ze sal patronażu, a my Siostry i ta panienka poszłyśmy do Sióstr na noc. Jechaliśmy statkiem po morzu, ogromny był wicher, fartuchy nadymały się nam, jak zepeliny, ale jak to trzeba było uważać na dzieci, bo woda, to niebezpieczna rzecz dla nich. Zabraliśmy tylko dzieci do lat 9. Jechaliśmy koleją od 8 do 12 przed południem. Po drodze we wagonie śpiewałyśmy, bo moje kochane dzieciaczki umieją już sporo pieśni, których ich nauczyłam. W ten czwartek pójdziem do lasu z dzieciarnią, a potem odfotografujemy się wszyscy, na pamiątkę mojego pierwszego patronażu w Bruay. — Wczoraj byłam z moją kochaną Siostrą Służebną, dwiema Siostrami i francuskiemi panienkami w Auchel na ślicznej procesji ku uczczeniu Przenajśw. Sakramentu. Ogromna manifestacja górnicza. Prześliczny ołtarz urządzono, jak tu nazywają »reposoir«, z węgli. Na dole była jakby grota z węgli (prawdziwa, jak w kopalni), w niej było kilku robotników pracujących, z lampami, narzędziami a nad tą jaskinią prowadziły schody do pięknie urządzonego ołtarza, na którym umieszczono monstrancję. Dekoracja zaś była z wielkich kawałów — może kilkucentnarowych — węgla,

które to kawały tworzyły niejako balustradę, a duży plac wokoło był udekorowany wokoło palącemi się lampami górników i ich narzędziami. Naprawdę wspaniały i oryginalny to był widok. Oprócz tego przez długie i proste ulice, którędy przechodziła procesja, porozstawiano bramy triumfalne z różnemi napisami po łacinie i francusku. Co dziesięć metrów była taka brama — było ich pewnie 300, jeżeli nie więcej. Monstrancję zaś wieziono na ślicznym, jak oni tu nazywają »char«. Otóż w ten sposób było to urządzone: 6 koni ładnych, czarnych ciągnęło swojego Stwórcę, przy każdej parze był człowiek, ubrany czerwono, z czarnemi wysokiemi butami. Teraz wóz, specjalnie na to urządzony, był rzeźbiony z drzewa, a na nim siedziało mnóstwo aniołków żywych (dzieci przebrane), na wzniesieniu wysokiem spoczywała monstrancja, podtrzymywana przez biskupa, a po jego bokach dwóch księży. Brzegi wozu udekorowano słupkami, na których umieszczono żardyniery z kwiatami, a w innych niższych kadzidło — ślicznie to wyglądało; lecz mojem zdaniem to nie odpowiada godności Hostji-Boga; o wiele majestatyczniej wygląda, kiedy kapłan niesie monstrancję, bo przecież Bozinko chodził, a nie jechał na wozie. Dołączam program tych uroczystości, a raczej porządek pochodu, może więc Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka wyobrazić sobie, jaki to był pochód wspaniały, a ludzi cała moc!

Podobno około 1000 Polaków ma jeszcze przyjechać do Bruay — biedacy, do takiej ciężkiej pracy przyjeżdżają; niektórzy jakoś się przyzwyczajają, ale niektórzy to nie. Często szukają sobie pracy poza kopalnią, n. p jako murarze, wtenczas ładnie mogą zarobić, nawet do 50 franków dziennie! Ale to rzadko — w kopalni zaś mają jakie 14—20 franków, mieszkanie i węgle, podczas kiedy przy innej pracy nie mają mieszkania.

Przesyłam Matce ukochanej mój wierszyk »La trainerie«; musiałam go poprzepisywać, bo ogromnie się podobał wszystkim Siostrom.

Najpokorniejsza itd.

S. Kazimiera

n. c. m. s. u. ch.

Z listów S. Kazimiery z d. 21 stycznia 1923 r.

Pragnę dzisiaj opisać w krótkości stosunki tutejszej kolonji, obecnej mojej placówki. Wiem dobrze, że to zajmuje Najczcigodniejszą Siostrę Wizytatorkę i wszystkie Siostry Kochane. Bully, to podobna kolonja jak Bruay, tylko o wiele rozleglejsza. W Bruay wszystkie ulice, jak je tu nazywają »corons« są bliskie siebie, podczas kiedy tutaj bardzo porozrzucane. Prócz tego szyby, jeden od drugiego bardzo oddalone Proszę sobie wyobrazić, że w naszej kompanji górniczej jest aż 7 probostw — a zatem 7 parafjalnych kościołów z tyluż proboszczami. I na te wszystkie probostwa jest dotychczas tylko jedna biedna S. Kazimiera... Podobno przyjechała już do Paryża Siostra Polka, przeznaczona do okręgu naszej kompanji górniczej. Biedaczka, skoro przyjedzie w te nasze błota, to napewno potęskni sobie za brukiem paryskim, albo przynajmniej za warszawskim (bo to podobno z Warszawy przyjechała). Doprawdy do tego błocka tutejszego trzeba się przyzwyczaić. Ja już tak do niego przywykłam, że sobie nieraz myślę: chyba to już inaczej być nie może. Po prostu »chlapię« w tej kałuży, a na dobitkę, codzień prawie pada. Bez parasola tu wyjść nie można. Śmieję się z francuskiemi Siostrami i mówię im, że niebo w północnej Francji zawsze zagniewane, zamroczone, podczas gdy niebo polskie, to jasne i pogodne. Tak też zawsze nie jest. Zabawnie, bo tutaj przechodniów słyszy się po »chlapaniu«, że się tak wyrażę, w błocie — a w mieście lub na dobrej drodze toć słychać kroki — tutaj tego niema, słyszy się tylko takie, jakby »mieszanie w ciaście«, a trzewiki, zgroza je obejrzeć i zewnątrz i pod podeszwą; suknię schwytam »po francusku« bardzo wysoko i tak maszeruję zawsze, naturalnie w małej chustce, ze zapiętemi skrzydłami kornetu. Tutaj wszystkie Siostry muszą je spinać, inaczej kornet w tych strasznych wichurach ulegnie takiemu zniekształceniu, że poznać go nie można, czy to łata czy serweta. Wicher tak dmie, że nieraz oprzeć się mu nie mogę i odrzuci mnie kilka kroków w bok, a z parasolem, to istna sztuka chodzić. Do tego muszę dodać, że błocko to jest w niektórych miejscach z gliną zmieszane, ślizgawka prawdziwa. Czasem jak skoczek na linie. Pewnego razu przy takiem balansowaniu potoczyłam się na mur i skaleczyłam się. Oczywiście, że wtenczas nie myślałam o śmiechu. Co do błocka, trzeba przyznać, że prędko po uschnięciu, ze sukni spada. Czasem sobie myślę: chyba Anioł Stróż zdmuchuje kurz ze sukni, bo

po niejakim czasie ani śladu niema za błockiem. Inaczej rzecz się dzieje z trzewikami, są one oblepione błockiem aż strach. No, toć nic nie szkodzi. Zawsze mówią: »c'est pour le bon Dieu et pour la patrie!« Kolonja tutejsza dopiero powstaje; budują na gwałt i w te ledwie co ukończone domy, wprowadzają się nasi rodacy. Porządne to mieszkania: mają po 4 lub 5 izb, kawałek ogródka. Domki te są niskie, jednopiętrowe, podobne jak w Bruay, tylko dalej od siebie porozrzucane. Jestto kolonja zupełnie nowa. Niema zatem ani krzaczka, ani drzewka, nagie domy na razie, lecz z wiosną zazielenią się ogródki naszych poczciwych robotników. Mieszkają oni przeważnie w polskiem otoczeniu. Jest im więc przyjemnie, bo mogą się wspólnie często odwiedzać, rozmawiać ze sobą. Z początku bardzo im przykro i tęskno, ale z biegiem czasu przyzwyczajają się do tutejszego kraju, myśląc jednakże o późniejszym powrocie do kraju. Same tu są rodziny westfalskie. Zniemczone, aż wstyd! Dzieci między sobą mówią tylko po niemiecku. Stąd nazywają ich »boches«. Zupełnie na to zasługują. Zgroza: matka woła na dziecko Wanda, Staś, Jaś — a Wanda, Staś, Jaś itd. po niemiecku matce odpowiada. Takie to języki pokaleczałe, że straszna to praca krzywdę tę naprawić. Przez naukę katechizmu poznają naszą mowę ojczystą, lecz cóż to za trud, wykuć coś z tego »zgermanizowanego materjału«. Ile to razy trzeba tłómaczyć, wyjaśniać, po prostu kuć na pamięć. Po lekcji katechizmu biorę śpiew kościelny i patrjotyczny. Oto próbka inteligencji moich kochanych »uczniów i uczenic«: ucząc je »Nie rzucim ziemi« tłómaczyłam im różne trudne wyrażenia, np. hufiec, orężny, twierdza itp. Rezultat moich wykładów taki: kazałam jednemu z chłopców prześpiewać ów hymn, otóż przy trzeciej zwrotce zanucił śmiało z życiem, zamiast: »Pójdziemy, gdy zagrzmi złoty róg« — »Pójdziemy za drzwi...«, to więcej jak ładne, nie prawda? Poczciwe dzieci — umieją już wiele piosenek i kilka kolęd. W nagrodę, po lekcji nauki katechizmu urządzam śpiewy. Ogromna uciecha zawsze przy tem. Dzieci wszystkich, które uczęszczają na katechizm jest około 140. Porządna to gromadka! A ile ich nie chodzi! Polacy bardzo się tu psują i przejmują tem, co złe i co oczywiście wpływa ujemnie na ich stan moralny i religijny. Po części i lepiej, że ci Westfalczycy nie pojechali wprost do Polski, bo to takie zgermanizowane, że aż strach! Niech tutaj strzepną swe piórka z niemczyzny, a potem czystemi, białemi, niech pofruną do Polski. Może też Bóg da, że nasi biedni robotnicy znajdą pracę

w ojczyźnie naszej. Jeszcze, jakoś dotychczas niema po temu widoków. Na ogół tutejsi koloniści polscy są uczciwi, wstydu Polsce nie robią. Najgorzej, jak zaczną przejmować się francuskiemi zasadami, z któremi im wcale nie do twarzy. Rzecz prosta, że nie biorą dobrej strony za przykład, tylko przewrotną. Oprócz dzieci uczę dziewczęta starsze języka francuskiego. Co to za męka, po części to wszystko zniemczałe, że ledwie czytać potrafią po polsku, a tu teraz zacząć z niemi francuskie... Niektóre są bardzo pilne i zdolne. Staram się dla nich o porządne miejsca. Urządziłam też z pomocą Bożą małe bractwo różańcowe dla dziewcząt i kobiet. Trzeba też im słówko o Bogu powiedzieć. Z dziewczętami mam co niedzielę zebrania. Przeczytam im ewangelję i powiem krótką nauczkę, stosowną do tekstu ewangelji, uczę śpiewu. Proszę bardzo Najczcigodniejszą Siostrę Wizytatorkę o modlitwę, bo bardzo jej tu potrzeba. Poczciwi robotnicy do mnie przychodzą jak do jakiego księdza z prośbą o poradę, o pomoc. Energji tutaj można nabrać, prawdziwie męskiej. Dzięki Bogu, jakoś to idzie i z łaski Najwyższego jestem szczęśliwa, zadowolona i przyzwyczaiłam się do takiego koczowniczego, apostolskiego życia. Jestem gotową na dalsze wędrówki. Uważam się jak ptaszyna Boża »bezdomna«, gdzie zajadę — tam mój dom. Chwała Bogu, język jak po wazelinie jedzie. Tak się już wżyłam w stosunki domów francuskich, że aż mnie samej dziwno. Charakter francuski to szczery, jasny; w jednej chwili zamieni się nieco ostrzejsze słowo, a potem już wszystko dobrze. W środę jadę do Bethune samochodem odwiedzić Polaków, chorych w szpitalu. Jak oni się cieszą, skoro usłyszą mowę polską. Już sama doświadczyłam tego, że chłop jak dąb, popłakał się na widok mnie, t. zn. polskiej Siostry. Ile ja już domów francuskich Sióstr poznałam. Wszędzie dla mnie Siostry bardzo uprzejme, częstują czarną kawunią z jakimi wafelkami lub też chlebkiem z masełkiem. W najbliższym czasie zacznę udzielać katechizmu w jednym z kościołów francuskich po polsku. Proboszcz franc. pozwoli na to. Jak tu okropnie widać zniszczenie powojenne. Przeważna część kościołów porujnowana, a nabożeństwa odbywają się w barakach. W naszej kompanji kopalnianej jeden z domów Sióstr (a jest ich 4) zupełnie zniszczony. Siostry biedne mieszkają w domeczkach robotników. Mają takie cztery chałupy i w nich tymczasowo są umieszczone; byłam tam u nich; a w tych barakach, które kościół zastępują, to wiatr tak dmie, że aż się uciekać myśli od strachu, gdy się jest samą; tylko

pamięć, że Bozinko tam mieszka. wstrzymuje niejakoż od tego. Rozgadałam się dosyć długo. Wszystkie Siostry najserdeczniej pozdrawiam i polecam się św. modlitwom. Co do mnie, chcę wytrwać na moim posterunku tak długo, jak to będzie wolą Bożą i pomimo trudów i przykrości życia misjonarskiego wyrywa mi się z duszy hymn dziękczynny »Magnificat« na podziękowanie za odebrane łaski.

Najpokorniejsza *S. Kazimiera* n. c. m. s. u. ch.

Bytom. (Z listu S. Marji do N. Ks. Wizytatora).

Ciężkim smutkiem Pan Bóg nas nawiedził. Czc. Siostra nasza, Marja Balbina, w domu naszym Marja Józefa Hanke długo nam chorowała bo od lipca do końca października niemal, obłożnie tak, że zdawało się, iż choroby nie przetrzyma. Czyniłyśmy co możliwem było, by uratować zdrowie tak drogie naszej Czc. Siostry Przełożonej. Pomału też zaczęła wstawać i uczęszczać na ćwiczenia, zajmować się dziełami domu. Na gwiazdkę sama wydzieliła wszystko dla 250 mniejwięcej dzieci ochronkowych, dla ubogich, domowników, dzieci domowych, nareszcie na rok nowy i dla Sióstr. Czuła się jednak zawsze bardzo zmęczoną. W piątek 12 stycznia wstała, była na mszy św., zajęła się codziennemi sprawami i nagle kilka minut po 10-tej z rana padła i w tej chwili skonała. Ostatniem jej zajęciem było przygotowanie paczuszki dla jednej z Sióstr, która w tym roku z domu naszego pojechała do Chełmna. Przy tem zajęciu znalazłyśmy Ją nieżywą, mimo że kilka minut przedtem rozmawiała ze Siostrami. Po odejściu tak nagłem naszej Czc. nieocenionej Przełożonej, smutno nam bardzo i chciałybyśmy przyjść Jej z pomocą, dlatego proszę usilnie Czc. Ks. Wizytatora, by przyjął ofiarę na gregorjańskie msze św. i żeby takowe jak najprędzej odprawione zostały. Usilnie też proszę, by Czc. ks. Wizytator był łaskaw uwiadomić znajomych nam księży o naszej stracie, by byli łaskawi pomodlić się za naszą zmarłą Czc. Siostrę Przełożoną. Pogrzeb odbył się 16 stycznia. Nadmieniam jeszcze, że Czc. Siostra nieboszczka w tej chwili skonała; Czc. ks. Dziekan już tylko oleje św. mógł włożyć sub conditione.

Polecając duszę św. p. Czc. Siostry naszej łaskawej pamięci przed Bogiem, proszę niech Czc. ks. Wizytator będzie łaskaw pamiętać i o nas w swych św. modlitwach, byśmy choć zdala zdążały w Jej ślady, gdyż była prawdziwie wszystkiem dla

wszystkich. Komunję św. przyjęła Czc. Siostra Przełoż. w czasie rannej mszy św.; poszła więc z Bogiem w sercu.

Z wyrazem najgłębszego uszanowania zostaję w miłości Jezusa i Marji Niep., Czc. ks. Wizytatora

uniżona *Siostra Marja*
Dom św. Józefa w Bytomiu.

Widoczna opieka Bł. Jana Gabriela Perboyr'a.

W r. 1895 w sierpniu, opuszczając Paryż na zawsze, gorąco pragnęłam poznać rodzonego brata błog. Jana Gabriela Perboyr'a, żyjącego jeszcze wówczas w Zgromadzeniu Ks. Ks. Misjonarzy przy ulicy Sevres. Napróżno jednak prosiłam o tę łaskę Księży Misjonarzy, odmówili mi kilkakrotnie z powodu wielkiej starości brata naszego Błogosławionego. W wigilję wyjazdu poszłam jeszcze pomodlić się przy trumience, w której spoczywały sprowadzone z Chin zwłoki umęczonego Jana Gabriela. Tu gorąco modliłam się, prosząc Błogosławionego, aby nie pozwolił, bym wyjechała z Paryża, nie poznawszy Jego brata jeszcze żyjącego. Po tej modlitwie udałam się jeszcze raz do Księży Misjonarzy z prośbą o widzenie brata naszego Błogosławionego, co ku wielkiej mej radości zostało mi natychmiast dozwolone. I wyszedł staruszek drżący od starości, wszedł do rozmownicy, trzymając w ręku dwa obrazki przedstawiające brata jego rodzonego, umęczonego i wiszącego na krzyżu, a dając mi je, rzekł: »oto ile razy będziecie w jakiej potrzebie, zwróćcie się z prośbą do mojego brata i uczyńcie obietnicę złożyć jaki datek na Chińczyków. On wam uprosi pomoc i błogosławieństwo«. Żegnając, pobłogosławił mnie i dał błogosławieństwo na podróż dla mnie i dla całej mojej rodziny.

Lata upłynęły; w roku 1922 mąż mój ciężko zachorował od Wielkanocy do końca czerwca. W sierpniu nastąpiła jakby recydywa: powrócił z biura z gorączką około 40 stopni i ostremi bólami w całem ciele. Strach nas ogarnął o życie męża i o posadę biurową, którą mógłby utracić z powodu powtarzającej się choroby. Na drugi dzień przy pacierzu odmawianym wspólnie, wymówiłam słowa: »Błogosławiony Janie Gabrielu Perboyr, módl się za nami«. Co słysząc jedna z moich córeczek, zawołała: »Mamusiu! Mama nam kiedyś opowiadała o tym świętym«. Ach tak! zawołam, brat Jego powiedział mi, abym Go prosiła, gdy będę w jakiej potrzebie. Otóż Janie Gabrielu, obiecuję, że złożę 500 marek na Chińczyków, jeżeli mąż mój nie będzie

chorował. Ku memu wielkiemu zdziwieniu i przerażeniu nazajutrz rano mąż mój wstaje raniutko, by udać się do biura. Na próżno błagam, aby się nie narażał i pozostał w domu. Po powrocie z biura mierzę gorączkę i znajduję tylko 36 stopni. Gorączka i bóle nie powróciły i mąż mój w dobrem zdrowiu dalej chodzi do biura. Moja wdzięczność względem Boga i błog. Jana Gabriela jest wielką. Toteż w dniu 31 sierpnia miałam sobie na sercu i pospieszyłam zanieść 500 marek na Chińczyków do rąk Księży Misjonarzy w naszem mieście. Jeden z nich ks. Paszyna wyraził życzenie, abym napisała to, co opowiadam. Czynię to z radością w dwóch językach po polsku i po francusku, aby chwała Bł. Jana Gabriela Perboyr'a rozchodziła się jak najdalej. Mam jednak do opisania więcej niż to, czego życzył sobie ks. Paszyna. Bo oto nowy dowód widoczny życzliwości i zainteresowania się, jakie żywi dla ludzi w swej chwale niebieskiej Jan Gabriel Perboyr.

Od trzech miesięcy trapiłam się ogromnie i czyniłam próżne wysiłki i starania, aby w jakiej dobrej szkole umieścić moje dwie córeczki. W szkołach prywatnych cena wygórowana zamknęła nam ich drzwi; szkoły rządowe są przepełnione; tu wymagają egzaminu konkursowego, tam zaś inne trudności. Jakaż była moja radość, gdy w dniu 31 sierpnia odnosząc 500 marek na Chińczyków do naszych Księży Misjonarzy; jeden z nich zapytał się moich córeczek: »Czy wy też chodzicie do szkoły?« A ja na to odpowiadam: »Po raz pierwszy nie zapisałam ich do szkoły«. Na te słowa ks. Paszyna daje mi adres dobrej szkoły rządowej, gdzie jeszcze są miejsca. Udajemy się tam jeszcze w tym samym dniu. Nazajutrz właśnie ma być egzamin nowych uczenic; udaje się zupełnie dobrze moim córeczkom i oto stają się uczenicami tej dobrej szkoły. Aby wyrazić moją wdzięczność, składam znowu 500 marek na Chińczyków i wołam: »Wielki jest Bóg w swoich świętych. Niech będzie uwielbione święte Imię Jego. Niech żyje pamięć i imię wielkiego Sługi Bożego, Błogosławionego Jana Gabriela Perboyr'a«.

Warszawa, 9 września 1922.

Marja Kazimiera z Indyckich Jankowska.

Prawdziwość zeznania stwierdzamy: Antoni Jankowski, Nacia Jankowska, Jania Jankowska.

Wspomnienia pośmiertne.

Ś. p. X. Maksymiljan Wroński

urodzony 7 października 1881, zmarł dnia 30 listopada 1921 r.

Każda śmierć Misjonarza, umierającego w sile wieku, jest dotkliwą stratą, która w sposób mniej lub więcej wyraźny odbić się musi na mechaniźmie działania Zgromadzenia. Każdy również zgon Misjonarza, z natury rzeczy odezwać się musi bolesnem echem w duszach ogółu konfratrów. Rzadko jednak śmierć konfratra znajduje w sercach współbraci odgłos równie silny i szczery, jak śmierć ś. p. X. Wrońskiego. Wywołała ona żal powszechny i współczucie, współczucie tak ogólne i szczere, iż możemy snadnie uważać je za miarę czci i życzliwości, jakiej ś. p. Zmarły zażywał w Zgromadzeniu. Bolał nad jego stratą przedewszystkiem dom stradomski, gdzie ś. p. X. Wroński w ostatnich latach mieszkał i pracował; lecz żałowały go równie szczerze inne dwa domy krakowskie, żałowali wszyscy konfratrzy na prowincji — a piękny pogrzeb, w którym wzięło udział tak liczne grono księży, kleryków i braci Zgromadzenia, był tylko nikłym wyrazem ogólnej sympatji, którą Zmarły Konfrater cieszył się za życia.

Gdybyśmy postawili sobie pytanie, czem zmarły konfrater zyskał sobie tak powszechną życzliwość i sympatję, to trzebaby w odpowiedzi wskazać przedewszystkiem na jeden charakterystyczny rys duchowej Jego fizjognomji a mianowicie: na skromność i cichość. Był to przezacny kapłan,

charakter na wskróś szlachetny, ale nadewszystko był to Misjonarz wielkiej cichości i skromności. Powiedział ktoś po jego śmierci: „Szkoda X. Wrońskiego, bo był to konfrater, który nigdy nie wszedł nikomu w drogę". Te słowa niewyszukane, wylane jakby instynktownie z braterskiego serca, oddają trafnie opinję, jaką miał o nim ogół konfratrów. Mimo całą szorstkość, są one równocześnie szczerą i rzetelną pochwałą dla zmarłego konfratra.

Rzeczywiście był to człowiek, który zawsze żył i pracował w cichości, prawie w ukryciu. Spełniał obowiązki tego rodzaju, że skazywały go przedewszystkiem na pracę przy biurku. Ale to doskonale odpowiadało jego usposobieniu. To też pokochał swoje zajęcie tak, iż skromna izdebka stała się dlań z czasem najulubieńszem miejscem pobytu i miłem schronieniem. Można powiedzieć, że większą część życia kapłańskiego spędził w cichym pokoiku misjonarskim. Z natury nieśmiały, nie wysuwał się nigdy naprzód, nie gonił za rozgłosem, nietylko nie żywił żadnych ambitniejszych marzeń, ale nie domagał się, nie żądał uznania dla swej pracy, dla znanych wszystkim zalet i talentu. Nie znaczy to jednak, jakoby był całkiem nieczuły na jakiekolwiek pochwały czy nagany. Każdy, nawet bardzo wyrobiony wewnętrznie człowiek, zachowuje pod tym względem wrażliwość świeżą, niestępioną. Istniała ona i u ś. p. konfratra. Lecz wrodzona jego skromność miarkowała ją w znacznej mierze i jakby neutralizowała do tego stopnia, iż objawiała się na zewnątrz w bardzo łagodnej formie. Pamiętam, jak kiedyś na wspólnej rekreacji omawiano broszurę, zawierającą skreślony jego ręką nekrolog ś. p. X. Stanisława Grabowskiego. Któryś z konfratrów podniósł rozmach i pewien polot, z jakim autor opisał życie zmarłego swego kolegi. X. Wroński przyjął tę pochwałę z zadowoleniem ale równocześnie z pewnem wstydliwem zakłopotaniem — i, śmiejąc się z naiwnością dziecka, starał się skierować rozmowę na inny przedmiot.

Tą cichością i skromnością nacechowane było całe jego postępowanie. W stosunku do przełożonych ta cichość jego graniczyła z nieśmiałością i zbliżała się do uczucia, które moraliści nazywają „timor reverentialis". Miał zawsze dla nich cześć i szacunek, ale równocześnie odnosił się do nich z respektem, pomieszanym z pewnego rodzaju uczuciem zakłopotania; a trzeba zaznaczyć, że takim był nietylko za lat szkolnych, lecz również jako kapłan i aż do końca życia takim pozostał. Był to Misjonarz, z którym przełożeni nie mieli nigdy żadnego kłopotu.

Stosunki jego z równymi mu konfratrami odznaczały się zawsze doskonałą poprawnością. Żył ze wszystkiemi w zgodzie i harmonji — a nie potrzebuję może podnosić, że podstawą tej harmonji i jakby dominującym tonem był znowu wspomniany wyżej piękny przymiot jego duszy: skromność. Ta wrodzona mu skromność ułatwiała mu ogromnie współżycie z konfratrami. Odnosił się do drugich z delikatną uprzejmością, a ponieważ dbał przytem starannie o zachowanie nawet zewnętrznych form grzeczności, więc nie dziw, że w towarzystwie konfratrów był miłym i pożądanym. Lubiano go powszechnie, a lubiano tem więcej, że całe tło wewnętrzne, na którem wyrastało usposobienie jego i fizjognomja moralna, było jakby podmalowane lekkim odcieniem naiwności, co tem silniej uwydatniało wrodzoną mu skromność i cichość.

Wreszcie cichość ś. p. konfratra objawiała się także w stosunkach jego z niższymi. Nie pokazywał im nigdy swej wyższości, był dla wszystkich dobry i przystępny. Jeśli kogoś ofuknął czasem lub pokazał na zewnątrz oburzenie, to nie były to nigdy objawy złośliwości jakiejś, lecz raczej naturalne odruchy wrodzonego wszystkim instynktu, a więcej jeszcze objawy pewnego rodzaju nerwowości, powstałej na tle nurtującej organizm jego choroby.

Wogóle cichość i skromność — to dwa przymioty, które najwięcej uderzały u ś. p. X. Wrońskiego. Wśród

innych zalet jego i przymiotów, te dwa miały kontury najsilniej zarysowane, to też najwięcej zwracały na siebie uwagę otoczenia. Nadawały one usposobieniu jego specjalnego zabarwienia, były najwybitniejszą cechą moralnej jego fizjognomji, stanowiły najgrubszą warstwę jego duszy. Jak przypominając sobie postać jego fizyczną, odtwarzamy w wyobraźni przedewszystkiem charakterystyczną twarz jego o cerze żółtej i zawsze bladą, tak odświeżając sobie w pamięci obraz jego duszy, myślimy przedewszystkiem o cichości jego i skromności.

*
*   *

Lecz dla pamięci potomności przypomnijmy przynajmniej ważniejsze daty z życia zmarłego konfratra.

Ś. p. X. Maksymiljan Wroński był synem górnośląskiej ziemi i urodził się d. 7 października 1881 r. w Królewskiej Hucie. Miasto to, należące obecnie już do Polski, jest największem centrem słynnego górnośląskiego trójkąta przemysłowego, o którym w ostatnim czasie tak głośno było w całym świecie.

Z okresu wczesnej młodości nie posiadamy o ś. p. konfratrze prawie żadnych wiadomości. To tylko pewne, że lat jego najmłodszych nie opromienia bynajmniej słońce szczęścia, przeciwnie, już nad kolebką jego dziecięcą unosi się jakaś szara chmura smętku i pewnej melancholji. Rodzice jego byli bardzo niezamożni i pracą rąk własnych zarabiali na życie. Na domiar złego oboje umarli w młodym wieku, umarli — zdaje się — w czasie, kiedy mały Maksymiljan nie był jeszcze zdolnym uświadomić sobie straty, którą poniósł. Biedny chłopiec bardzo wcześnie poczuł się nieszczęśliwym, opuszczonym sierotą — i to wczesne sieroctwo wywarło, zdaje się, niemały wpływ na jego usposobienie. Nie zaznał on prawie zupełnie ciepła rodzinnego życia, nie pamiętał czułych pieszczot matki. Natomiast od lat najmłodszych przebywał wśród ludzi obcych, którzy nie

mogli oczywiście dać mu tego, co daje własna matka. Ponieważ przytem nie miał krewnych, którzyby mogli zatroszczyć się należycie o jego wychowanie, więc nie dziw, że w sercu chłopca zrodziła się lekka nieufność do ludzi i pewna nieśmiałość, której śladów nie zdołały zatrzeć pózniejsze jego losy.

Po śmierci rodziców, mały Maksymiljan oddany został do miejscowego zakładu sierot, gdzie przebywał do 14 roku życia. Zakład ten, zostający pod opieką Sióstr Boromeuszek, fundował ś. p. X. Łukaszczyk, były proboszcz przy kościele św. Barbary w Królewskiej Hucie. Przez cały czas pobytu swego w sierocińcu mały Maksymiljan zachowywał się wzorowo. Wrodzona mu cichość i skromność zjednały mu serca kolegów a także serca Sióstr, które kochały go szczerze a w późniejszym czasie uważały nawet za chlubę zakładu. Nawzajem Maksymiljan chował dla Sióstr zawsze wdzięczną pamięć, a węzły zadzierzgnięte z zakładem w dziecięcych latach nie zerwały się już nigdy. W zakładzie odbyła się uroczystość prymicyjna zmarłego konfratra, tam też zajeżdżał on w późniejszym czasie zawsze, ilekroć wypadało mu być na Śląsku.

Ponieważ wcześnie objawiał wyraźny talent i chęć do nauki, przeto posłano go w roku 1894 do gimnazjum w Królewskiej Hucie. Uczęszczał tam jednak niedługo, bo tylko półtora roku, t. j. do jesieni 1895 r. W tym to czasie, rówieśnik jego a później konfrater X. Słupina, wybierał się do naszego Małego Seminarjum w Krakowie. Otóż wuj X. Maksymiljana dowiedziawszy się o tem, przyłączył doń swego siostrzeńca i w ten sposób X. Maksymiljan znalazł się w naszem Małem Seminarjum. Na podstawie świadectwa jakie przywiózł z sobą, przyjęty został odrazu do II. klasy. Po trzech latach nauki przeszedł do seminarjum i w roku 1901 złożył śluby święte. Był to dlań dzień uroczysty, dzień prawdziwego wesela i radości, bo w dniu tym związał się na zawsze ze Zgromadzeniem, do którego szczerze się przy-

wiązal i które kochał przez całe życie. To przywiązanie objawiał czasem głośno wobec zaufanych i z przekonaniem zaręczał, że w Zgromadzeniu znalazł to, czego nie zaznał w młodych latach: atmosferę rodzinnego życia. Po skończeniu nauk gimnazjalnych przeszedł na studja teologiczne i wreszcie w styczniu 1906 r. wyświęcony został na kapłana.

Imię Misjonarza łączy się w naszej myśli przedewszystkiem z pojęciem życia apostolskiego, życia pełnego wprawdzie trudów, ale równocześnie pełnego powabu, pełnego zmian i ruchu. Ś. p. X. Wrońskiemu nie było danem zakosztować ni przyjemności ni trudów apostolskiego życia Zdrowie jego, przymioty i wogóle całe jego usposobienie, wskazywały mu raczej zupełnie inne pole działania. Rzeczywiście też przełożeni przeznaczyli go zaraz po wyświęceniu do nauki — i po krótkim pobycie na Stradomiu i w dawnym domu naszym w Sarnkach, ś. p. X. Wroński osiadł w Małem Seminarjum na Nowej Wsi. Przebył tam całych 10 lat, spełniając w cichości obowiązki profesora filologji klasycznej. Jak tam pracował, jak wyrabiał się wewnętrznie, jakim był dla kolegów swoich i uczniów, o tem wszystkiem pisze w następujących słowach jeden z kolegów jego profesorów, który przez ośm lat przemieszkiwał z nim razem na Nowej Wsi:

„Ś. p. X. Wroński był to człowiek stałych zasad i nieposzlakowanego charakteru, nadzwyczaj prawy i szczery, a lubo posiadał rzetelne wykształcenie, był jednak nadzwyczaj skromny i bezpretensjonalny. Jako pedagog, był bardzo sumiennym i pracowitym. Choć przedmioty, których uczył, mało zwykle nęcą uczniów, umiał jednak ś. p. X. Wroński wlać w nie tyle ducha i tyle zapału, iż uczniowie uczyli się przedmiotów tych z zamiłowaniem. Był też X. Wroński bardzo wymagającym i nie byle czem się zadowolił. A choć czasem żartobliwie nazywali go uczniowie „tyranem", to jednak lubili go i poważali dla pracy i poświęcenia, z jakiem oddawał się swemu przedmiotowi. Trzeba było mieć

rzeczywiście dużo energji i zamiłowania do swego fachu żeby z takim „pedantyzmem“ opracowywać każdą lekcję. Że był całą duszą oddany swemu zawodowi pedagogicznemu, świadczy o tem choćby ten fakt, że przetrwał na tem ciężkiem stanowisku całe 10 lat, t. j. od roku 1907—1917, pracując pod trzema superjorami: X. Ciopalskim, X. Koniecznym i X. Dihmem. Po wyjeździe X. Włodarczyka do Ameryki, spełniał ś p. X. Wroński urząd asystenta domu, lecz urząd ten nie odpowiadał jego skromności i dlatego za niedługo poprosił o zwolnienie, które też otrzymał. Z początkiem wielkiej wojny, gdy Małe Seminarjum było zamknięte, pracował ś. p. X. Wroński w szpitalu wojskowym na Łobzowie i zajęciu temu oddawał się z całem poświęceniem. W pożyciu z konfratrami cechowała go nadzwyczajna serdeczność, a lubo z natury był usposobienia melancholijnego, potrafił jednak zjednać sobie sympatję tak u równych, jak i u niższych od siebie. Cechowało go też wielkie poczucie wdzięczności względem tych wszystkich, co mu kiedykolwiek wyświadczyli jakieś usługi. Krótko mówiąc, X. Wroński to jeden z tych, do których można zastosować słowa Pisma św.: „Stawszy się za krótki czas do skonałym, przeżył czasów wiele“. Tyle wspomniany konfrater.

W r. 1917 ś. p. X. Wroński przeniesiony został na Stradom, gdzie powierzono mu lekcje filologji w wyższych klasach naszego gimnazjum. Któż byłby wtedy przypuszczał, że pozostaje mu już tylko kilka lat życia? Któżby był pomyślał, że wnętrzności jego toczy ciężki i złośliwy rak, którego działanie wzmaga się z dnia na dzień, sprawiając coraz większe w organiźmie spustoszenia. A niestety, tak było w istocie. Dowiedzieliśmy się o tem później. Na razie jednak nic nie zapowiadało rychłej katastrofy. Stan jego zdrowia był stosunkowo dobry i zadowalniający. Był on wówczas jeszcze młody, czuł w sobie wiele energji i siły, a więcej jeszcze ochoty do życia. Zmiana miejsca i środowiska tę ochotę do życia jeszcze wzmogła i krzepiąc ducha wpłynęła

również ożywiająco na jego energję. To też przeniósłszy skromny dobytek swój na Stradom, zmarły konfrater ze zdwojoną energją zabrał się do pracy. Z rzadką punktualnością pilnował lekcyj a obrabiał je i przygotowywał się do nich z dokładnością i sumiennością, którą wytłómaczyć może jedynie szczery zapał do pracy i gorące umiłowanie przedmiotu. Pozostała po nim spora ilość różnego rodzaju skryptów, między któremi jest kilka zeszytów, wypełnionych starannem, maszynowem pismem. Są to przeważnie tłómaczenia ze starożytnych autorów klasycznych — a wszystkie są namacalnym dowodem sumienności i mrówczej pracowitości ś. p. X. Maksymiljana.

Lecz obowiązki profesora nie wyczerpywały energji zmarłego konfratra. Choć wiele godzin poświęcał przygotowaniu lekcyj, to jednak znalazł jeszcze dosyć czasu, aby z pożytkiem pracować w innej dziedzinie. Oto X. Superjor zamianował go bibljotekarzem. Przyjął ten urząd chętnie i spełniał go sumiennie przez blisko dwa lata. Najgłówniejszym obowiązkiem, jaki dotychczas ciąży na bibljotekarzu stradomskim, jest praca nad uporządkowaniem i skatalogowaniem bibljoteki domowej, której to pracy — mimo wysiłków kilku konfratrów — nie zdołano dotąd doprowadzić do końca. Praca to ciężka i żmudna, a wymaga tem więcej zaparcia się i poświęcenia, im mniej daje osobistej korzyści i zadowolenia. Otóż ś. p. X. Wroński znalazł w sobie tyle ofiarności, by oddać się jej z całem poświęceniem. Konfratrzy, którzy mieszkali wówczas na Stradomiu, pamiętają dobrze, jak przy pomocy kilku kleryków seminarzystów znosił do swego pokoju całe stosy starych i nowszych książek, jak je pracowicie odkurzał, jak je badał i przeglądał, jak je numerował i znów z powrotem wnosił do bibljoteki, umieszczając je na odnośnych półkach. Pamiętają również, jak w dnie wolne od lekcyj, rozlegał się na korytarzu nieraz całemi godzinami, klekot maszyny do pisania; każdy wiedział, że klekot ten dochodzi z pokoju bibljotekarza, każdy

też rozumiał, że tam w robocie katalog bibljoteczny, który zmarły konfrater pisał sam osobiście, pracując nad jego sporządzeniem z niezwykłą pilnością, wprost z pedanterją. Dzieła nie doprowadził do końca, brakło mu do tego czasu; ale to, co zrobił, aż nadto wystarczy, aby zapewnić mu trwałą pamięć i szczerą wdzięczność Domu Stradomskiego.

Pod koniec 1919 r. Czcigodny X. Wizytator zamianował go swoim sekretarzem. X. Wizytator już przedtem korzystał z jego ochoczości i gotowości do świadczenia usług. Zmarły X. Maksymiljan, pisywał dla X. Wizytatora na maszynie różne podania i inne elaboraty, rozsyłał listy zmarłych konfratrów, załatwiał niektóre inne sprawy, a ponieważ nietylko pracował ochotnie, ale przy załatwianiu różnych czynności wykazywał także dużą zręczność, więc X. Wizytator obrał go na stałego swego pomocnika. Stało się to tuż przed Bożem Narodzeniem w r. 1919. Ś. p. X. Wroński przeniósł się z głównego domu stradomskiego nad furtę i tam już przemieszkał aż do śmierci. Czas ten stanowi jakby ostatni etap w ziemskiej jego pielgrzymce, etap wprawdzie niedługi, lecz niemniej ważny w jego życiu a przedewszystkiem wypełniony dziwną wprost skrzętnością i pracowitością. Był zawsze pilny i pracowity — ale w tych ostatnich dwóch latach objęła go pod tym względem jakaś gorączka, która trawiąc duszę, podtrzymywała w nim niezwykłą ruchliwość i jakby przynaglała do pośpiechu w pracy. Spieszy się też i pracuje z coraz większą gorliwością. Obowiązki, jakie spełnia w sekretarjacie, to tylko część pracy, jaką wówczas wykonuje; obok tego, oddaje się różnym innym zajęciom. Zachowuje pewną ilość godzin filologji, przygotowuje i pisze w tym czasie obszerniejszy życiorys zmarłego kolegi ś. p X. Stanisława Grabowskiego; zaczyna tłómaczyć niektóre rzeczy z Ojców Kościoła i umawia się z X. Bielawskim o umieszczenie ich w „Miesięczniku katechetycznym", wreszcie przegląda i przygotowuje do druku jakąś książeczkę do nabożeństwa. Do wszystkiego bierze się

z zapałem i wytrwale dąży do zamierzonych celów. Przytem wszystkiem znajduje jeszcze trochę wolnego czasu, który poświęca zbieraniu znaczków pocztowych. Robił to jednak nietyle dla rozrywki, ile z innych, poważniejszych powodów. Pozostała po nim dosyć spora kolekcja znaczków. Na pół roku może przed śmiercią, obejmuje ś. p. X. Maksymiljan redakcję „Roczników". I znów z tąsamą gorącością, z tymsamym zapałem bierze się do dzieła. Snują mu się po głowie rozliczne plany i projekty: niektóre wprowadza natychmiast w czyn, inne odkłada na czas późniejszy, przygotowując tymczasem ich wykonanie. Wogóle ten charakterystyczny pośpiech, ta gorączka, nie opuszczają go do końca. Mogło się zdawać, że jakiś instynkt dziwny, jakieś przeczucie szepce mu do duszy, że trzeba korzystać z czasu, gdyż już niedużo mu zostaje życia.

Tymczasem choroba, która zapewne od całych lat toczyła jego organizm, czyniła gwałtowne postępy. W ostatnich miesiącach dosyć często kładł się do łóżka; cierpiał dużo, ale zawsze w milczeniu, bez słowa skargi. Wreszcie po porozumieniu się z przełożonymi, postanowił poddać się operacji. Myśleliśmy wszyscy, że postanowienie to słuszne i roztropne i czekaliśmy z ufnością terminu operacji. On sam żywił silną nadzieję, niemal przekonanie, że operacja się uda i że jeszcze długo będzie mógł pracować dla Zgromadzenia. Nie znaczy to jednak, jakoby lekceważył sprawę; przeciwnie, rozumiał dobrze, że wynik operacji tego rodzaju, jaką miał przebyć, jest zawsze niepewny. To też przygotował się do niej po chrześcijańsku: przez spowiedź generalną i modlitwę. Wyjeżdżając do szpitala, żegnał się serdecznie z konfratrami, jakby przeczuwając, że do domu już nie wróci. Niektórych konfratrów, z którymi więcej się stykał, nawet szczerze przepraszał za popełnione wobec nich winy. Wreszcie nadszedł krytyczny dzień, w którym miano wykonać operację. Wiadomości, jakieśmy otrzymali niedługo po dokonaniu operacji, brzmiały stosunkowo pomyślnie.

Odetchnęliśmy. Niestety, nie odkryto nam całej grozy położenia. Dopiero po kilku dniach poznaliśmy całą prawdę; dowiedzieliśmy się, że katastrofa jest nieuchronna. Zresztą już i sam stan chorego wskazywał wyraźnie, że niema się co łudzić. Aparat nerkowy przestał funkcjonować, chory słabnął coraz więcej. Opatrzono go św. Sakramentami. Stan jego pogarszał się z każdą chwilą, aż wreszcie zapadł w rodzaj półsnu i 30 listopada, w sam dzień św. Andrzeja apostoła, oddał ducha Bogu. Umarł spokojnie, cicho tak, jak jak cichem było całe jego życie.

R. I. P. *X. K. M.*

Ś. p. Brat Bartłomiej Voss

zmarł dnia 20 października 1921 r., mając lat wieku 89, powołania 65.

Dnia 22 października 1921 r. odbył się pogrzeb ś. p. brata Bartłomieja Vossa, nestora braci i najstarszego wiekiem i powołaniem członka Zgromadzenia Księży Misjonarzy prowincji krakowskiej, ostatniego świadka początków odrodzenia prowincji polskiej Zgrom. Misji i wybitnego współpracownika odbudowy jej po smutnej kasacie w roku 1864. W tym roku prowincja polska niemal przestała istnieć. Z licznych jej domów pozostały tylko dwa: stradomski i chełmiński, a ten ostatni niebawem rozpędzili Prusacy w r. 1866. Opatrzność Boża jednak nie pozwoliła upaść swojemu dziełu, lecz poczęła zasklepiać rany, złośliwą ręką ludzką zadane Zgromadzeniu. Z polecenia X. Generała Étienne, przybył naprzód do Krakowa ks. Schtröver, po nim X. Oudiette (już jako superior świeżo założonego domu Zgromadzenia na Kleparzu), wreszcie w r. 1866 X. Wizytator Soubielle. Ten już zastaje brata Barłomieja w kleparskim Domu Zgromadzenia.

Z Eipen rodem, gdzie ujrzał świat w r. 1832, brat Bartłomiej, szewc z zawodu, w razie potrzeby również dobry

stolarz, zręczny ślusarz, malarz, a nawet dość długi czas niezgorszy kucharz Zgromadzenia na Kleparzu, władający językiem niemieckim i francuskim, potem niezgorzej polskim, przyjęty do Zgromadzenia w Kolonji w 24-tym roku życia, przybył do Polski w czerwcu 1862 r. Niejaki czas był w Chełmnie, chwilowo na Stradomiu, wreszcie stale na Kleparzu. Przyniósł na polską ziemię gorącą duszę chrześcijańską, oraz trzeźwą rozwagę i niestrudzoną pracowitość niemiecką, a zwłaszcza zarodek wielu cnót: ogromną dobrą wolę. Od początku oddany Bogu całą swą żarliwą duszą, postępuje szybko i wytrwale po drodze Bożej, pod światłem kierownictwem tak wytrawnego znawcy dusz, biegłego kierownika sumień i znakomitego organizatora, jakim był bezsprzecznie X. Soubielle. Nieustanna praca nad sobą wyrabia go rychło na wzorowego syna św. Wincentego. Tym pozostał do ostatniej chwili swej długiej ziemskiej pielgrzymki.

Początkowo Zgromadzenie Misji osiadłe na Kleparzu nie miało ni własnego domu, ni swojego kościoła. Szczupłe grono mieszkało w małym domku, własności XX. Pijarów. X. Soubielle zaczynał od nowa, walcząc z wieloma trudnościami, o których nieraz później wspominając zaznaczał, że gdyby ich Bóg sam nie usunął, niktby przeszkód tych usunąć nie zdołał. Z pomocą Bożą i życzliwością Sióstr Miłosierdzia, stanął zrazu skromny, potem powiększony, wreszcie w r. 1870 obszerny dom Zgromadzenia; w roku zaś 1877 odbyła się konsekracja Kościoła pod wezwaniem św. Wincentego. Bóg jeden wie, ile w tych murach mieści się przeróżnych zabiegów, usilnych starań, żmudnej pracy i mozolnych trudów brata Bartłomieja. Cały swój czas i wszystkie siły poświęcił temu zadaniu. Przy tymto kościele został potem zakrystjaninem i na tym skromnym i zaszczytnym urzędzie przepędza niemal całe dalsze życie, dorabiając powoli to, czego jeszcze nie stało. Do dziś stoją dwa konfesjonały, jego własnej roboty. Codzień można go było widzieć, jak nieco chromy od urodzenia, utykając na nogę, krzątał się

po domu Bożym i z dziwną pieczołowitością dbał o jego ochędóstwo. Czego nie zdążył za dnia, wypracował w nocy. Przy takiej pracy uległ nawet raz wypadkowi: czyszcząc okna, spadł z wysokiej drabiny i o mało się nie zabił; szczęściem skończyło się na dotkliwem potłuczeniu. O wszystko zawsze zabiegał, wszystko przewidywał i jak to przezorny włodarz zwykł czynić, wszystko skrzętnie gromadził, wszystko szanował, wszystko kochał i niemal pieścił swemi kościstemi rękoma. Pochłaniało mu to sporą część dnia i zużywało niemało sił, mimo tego znalazł jeszcze dość czasu i chęci i niemniejszą troskliwą opieką otaczał prawie każdy sprzęt domowy. W całym domu Zgromadzenia panowała cześć dla pracy; od rana do nocy wrzało od niej jak w ulu, wszelako on był pracowitości najlepszym wzorem i najwznioślejszym przykładem.

Ruchliwa natura i gorące serce nie pozwoliły długo spocząć X. Soubielle. Kraków wzrastał, a równocześnie wśród ludu podmiejskiego rosła bieda i mnożyły się występkI. Tak było i w Nowej Wsi pod Krakowem. Toteż w r. 1891 obmyśliło Zgromadzenie tamże budowę nowego swego domu i kościoła Najśw. Panny z Lourdes. W brata Bartłomieja wstąpiło na tę wiadomość nowe życie. Obarczony obowiązkami na Kleparzu i tych nie zaniedbuje i nowe w Nowej Wsi podejmuje trudy. Z właściwą sobie troskliwością starał się o nowowiejską, jak niegdyś o kleparską budowę, tylko że włożył w nią nieskończenie więcej trudu i doświadczenia, którego w międzyczasie nabył. Wysiłek ten nadzwyczajny trwał pełne trzy lata; wreszcie budowa świątyni Najśw. Panny szczęśliwie dobiegła końca. — Radość jego nie miała granic, gdy w r. 1912 powiększono kościołek kleparski. Starzec wtedy blisko ośmdziesięcioletni, nie wiele pracą pomagał, tylko wznosił gorące dziękczynne modły, że dożył tego, o czem sam czterdzieści lat marzył.

Nierównie wspanialszą, w praktyce zaś nieskończenie trudniejszą, była w życiu jego budowa duchowego domu

Bożego, wznoszona w codziennym trudzie życia z najdroższych na świecie głazów, jakimi bezsprzecznie są owoce ducha: własne zaparcie się siebie i osobista ofiara. Ta wypełniła mu całe życie, skupiła niepodzielnie baczną uwagę i pochłonęła wszystkie jego siły. I nic dziwnego, że powoli wyrabiał się wewnętrznie tak, iż z czasem stał się niezłomnym wyznawcą zasad Chrystusowych i szczerym miłośnikiem cnót ewangelicznych.

Ubóstwo kochał nad wszystko. Mieszkał ubogo w izdebce położonej od północy i nigdy nieopalanej, więcej do składu lub zgoła do więzienia podobnej, niż do mieszkania ludzkiego, do której nigdy nie zajrzał jasny promień słońca. Ponury mrok zalewał izbę. Na pustych ścianach wisiał tylko skromny krzyż, zato na ziemi było pełno różnych przyborów kościelnych, ślusarskich i malarskich, wśród których trzeba się było formalnie przeciskać. Długie lata stał w izdebce pod ścianą nawet katafalk. Tak się w tym swoim ubóstwie kochał, że kiedy po kilkunastu latach dano mu inny pokoik, posłuszny opuścił swój długoletni przytułek, lecz nigdy o nim nie mógł zapomnieć. Odziewał się ubogo, nierzadko szatami, które inni jako nieużyteczne, dawno już odłożyli. Wyszukiwał chętnie ostatnie ułomki chleba i nimi się chętnie karmił i pokornie zadowalał. Nic własnego nie miał, niczego nie wymagał, o nic się nie upominał, tak właśnie, jak tego reguła wymaga. Nieposzlakowanych obyczajów, ułożony w ruchach, skromny w oczach, podnosił wzrok tylko w czasie krótkich rozmów i to ledwie na chwilę. Powściągliwy w języku, długo gadać nie lubiał, nigdy siebie nie chwalił, nie rozpowiadał ni o swoich przewagach, ni o swoich zasługach. Zgiełku, wrzawy życiowej nie znosił i starannie unikał. Cichy zawsze i skupiony, nigdy nie podnosił głosu i jak długo żył, nikt nigdy jego krzyku nie słyszał. Roztropność też właściwa ludziom skupionym, nie opuszczala go nigdy. Ona nadzorowała jego czyny, które do życia powoływał zdrowy rozum i praktyczna przenikli-

wość a karmiła gorąca miłość spraw Bożych. O chwałę Bożą troskliwy, bacznie przestrzegał ciszy w kościele i był postrachem rozmawiającej w kościele czasem dziatwy. Nieraz i starszych gadatliwych bez ceremonji wypraszał z nabożeństwa. Stale też formalnie czatował na grzeszników i nieraz zapytywał: „Czy przypadkiem nie czeka pan na spowiedź?“, a potem skrzętnie szukał spowiednika. — Reguła była ukochaną formą jego życia, od której nigdy nie odstępował. Rozkaz a nawet życzenie przełożonych były dlań czemś świętem, na samo ich skinienie gotów był podjąć się choćby najtrudniejszej rzeczy, wtedy znajdował czas i siły, które wyrastały jakby z pod ziemi. Dla przełożonych zachował zawsze cześć i synowskie przywiązanie. On też zamykał oczy w r. 1900 rażonemu apopleksją ks. Soubielle. Kiedy mu przydano do pomocy brata Cezarego, dziwił się, czemu go przełożeni oszczędzają, gdy przecież nie jest jeszcze tak starym. Zapomniał, że miał wtedy z górą lat ośmdziesiąt, lecz zresztą zgodził się na to. Była to może największa ofiara w jego życiu. Jeżeli oczom ludzkim czasami zdawało się inaczej, to może dlatego, że coś mylnie rozumiał, nigdy jednak nie stał w sprzeczności z sumieniem.

Był to pokorny sługa kapłanów, chętny, skupiony i pobożny ministrant ich świętej ofiary, prac ich szczery wielbiciel, w cierpieniu wytrwały towarzysz i pocieszyciel, modlitw żarliwy współzawodnik, uważny ich nauk słuchacz i słowa Bożego gorący miłośnik. Współbraciom życzliwy pomocnik, wszystkim usłużny i uczynny. Chciało się go nieraz nazwać skąpym lub pomawiać o nieuczynność, lecz po głębszem zastanowieniu przychodziło się do przekonania, że to była li tylko surowość jego pojęć i nieustępliwość jego twardych zasad. Zgromadzenie serdecznie kochał. W zimnej z pozoru skorupie ciała mieszkało szlachetne serce, którem instynktownie odczuwał tak to, że w Zgromadzeniu nie jest obcym, lecz jego członkiem i do jedności tej przystał dobrowolnie, jak i owo, że w nim nie jest panem, lecz

Bożym sługą a konfratrom bratem, a to braterstwo również nie z przymusu obrał sobie za cząstkę. Uważał też Zgromadzenie za najlepszą matkę, szczęśliwy, że w nim mógł Bogu złożyć ofiarę z własnego życia. Nie szukał też nigdy uznania dla siebie, natomiast cieszyły go niezmiernie prace cudze, zwłaszcza misyjne. Kiedy na głos dzwonka zbiegał kto był w domu, by powitać księży wracających z misyj, on był zwykle pierwszym, nigdy ostatnim. Doczekał się też w starości tego cudu, że Zgromadzenie na podobieństwo ziarnka gorczycznego, z dwóch domów wzrosło do dwudziestu siedmiu, wróciło pod dawne zabory i konarami swemi sięgnęło aż za ocean, a liczba członków z czterech wzrosła do stupięćdziesięciu. W starości często się dopytywał o prace Misjonarzy i niezmiernie cieszył się ich powodzeniem.

Wysokie pojęcie o powołaniu rodziło w nim głęboki szacunek tej łaski, a ustawiczne zbliżenie do Najśw. Ofiary w jakiem pozostawał, jak żywy ogień rozniecało miłość, podtrzymywało wytrwałość jego nieugiętej woli. Częsta Komunja św. zaś utrzymywała jego ducha w przestworzu bezustannego poświęcenia. Codzień o czwartej z rana pierwszy spieszył do kościoła, ostatni zeń wychodził; nie opuszczał nigdy wspólnych ćwiczeń duchownych, jakkolwiek już słaby od trudów i zwiędły od starości, często na nich zasypiał z długoletniego przemęczenia. Lecz bezsprzecznie najwięcej utrzymywała go opieka Najśw. Panny, którą gorąco kochał całe życie. Stopnie ołtarza Najśw. Panny były stale ulubionem zaciszem jego rozmodlonego ducha. Za Jej też przyczyną zapewne przetrwał czterokrotnie silne zapalenie płuc, ostatnie na kilka lat przed śmiercią. Marzył też o koronacji cudownej statuy Najśw. Panny z Lourdes na Kleparzu. To był jedyny sen jego życia, jedyne pragnienie na ziemi, niestety, nieziszczone. Bóg nie szczędził mu w życiu krzyżów.

Dobiegłszy lat ośmdziesięciu, usunął się całkowicie w cień. Towarzysze lat jego młodszych już wszyscy wymarli. Z całej ruchliwej przeszłości został mu tylko skromny, ślubny

krzyż, świadek życiowych trosk minionych i stoczonych walk zwycięskich, czy przegranych, na który starzec często tkliwie spoglądał gasnącemi już oczyma i ziębnącemi usty często całował ze łzą w oku. Sterany pracą długiego życia, z ufnością wyczekiwał przyjścia Pana, mogąc śmiało powtarzać za św. Pawłem słowa: „Świadek mi jest Bóg, iż potykaniem dobrem potykałem się, zawodum dokonał i wiarym dochował".

Jasną chwilą w jego starości był w r. 1906 obchodzony jubileusz jego pięćdziesięcioletniego powołania. Stary i niedołężny, ożywił się na chwilę w dzień, który go przeniósł myślą w czasy młodocianych zapałów, co już niepowrotnie minęły. Pod koniec życia, znużony pracą, przyciśniony wiekiem, traci stopniowo przyrodzoną rzeźkość. Siwy jak gołąb, zmalał, zeszczuplał, skurczyło się ciało i na podobieństwo starego kościoła co w ziemię się zapada, ale nabożeństwo po dawnemu się w nim zwykło odprawiać, zapadał jakby w ziemię. Pracować już nie mógł, lecz w pobożności nie stygł, w dobrem nie ustawał. Powoli umysł jego począł się zaciemniać, siły ducha gasnąć. Staruszek nie sypiał, często po nocach błądził, szukając niewiadomo czy dawnych znajomych twarzy i serc, czy bramy drugiego, lepszego świata. Stracił rachubę czasu i przestrzeni. Był to jakby zimny powiew od strony niedalekiego grobu. Niedołęstwo starości znosił cicho i z rezygnacją niemal lat ośm. Długość tej mglistej drogi skracał mu różaniec, którego z rąk nie wypuszczał. Zamieszki wojenne, stąd brak infirmarza w domu były przyczyną, że na trzy lata przed śmiercią oddano go do zakładu Helclów opiece i staraniom Sióstr Miłosierdzia. Tam również świecił przykładem skromności, ubóstwa i posłuszeństwa. Mieszkał razem z ubogimi zakładu, dając przykład ustawicznej modlitwy. Uwidziało mu się czasem, że tablice wiszące nad łóżkami są stacjami Męki Pańskiej. On ten rodzaj modlitwy zawsze tak bardzo kochał. Póki był w domu Zgromadzenia, codzień wieczorem je od-

prawiał w kościele i nie opuszczał nigdy mimo najliczniejszych zajęć. Każdy dzień swego życia znaczył krzyżem i Męką Pańską zwykł był swe zasługi pieczętować. Teraz dziwił się bardzo, czemu ich coś za mało i bolał, że właśnie dlatego nie może ich obchodzić. Wdzięcznie i pokornie przyjmował oddawane sobie usługi, mówiąc nieraz do obsługującej go Siostry Miłosierdzia: „Gdybym na coś nie chciał się zgodzić, proszę mi rozkazać pod posłuszeństwem, wtedy już będę musiał". Skorzystano z tego, inaczej byłby się zamorzył. Tak stary sługa Boży dogorywał powoli. Pracowity robotnik skończył pracę w sobotę życia i czekał już tylko dnia świętego, co nigdy nie przeminie. W końcu o niczem już nie chciał słyszeć, nic go nie zajmowało, tylko myśl o Bogu ogarniała i przenikała jego duszę. Na kilka dni przed śmiercią przypadkiem spadł z łóżka i skaleczył sobie niebezpiecznie rękę; była to ostatnia jego choroba, ostatni ból. Bliska śmierć otulała go już swym całunem. Jeszcze jeden akt posłuszeństwa o samym zmierzchu życia. Lekarz orzekł, że operacja jest nieunikniona. Gasnący starzec nie chciał się jej poddać, lecz gdy mu kazano pod posłuszeństwem, zgodził się natychmiast i poddał zabiegom lekarskim. Posłuszeństwo to było jak gdyby pochodnią, która mu oświecała koniec drogi życia, rozpromieniała wnętrze ciemnego grobu i grozę jego odjęła. Wyczerpany starzec nie mógł już znieść bólu i co miał siły wołał: „Święty Wincenty, brońże mnie!". Był to pierwszy i ostatni krzyk w jego życiu misjonarskim. Nie pomogły zabiegi lekarskie, wnet nastąpiło zakażenie krwi. Zmarł w fotelu dnia dwudziestego października o godzinie dziesiątej w nocy. We wspólnym grobie Zgromadzenia na cmentarzu w Krakowie, czeka dnia chwalebnego zmartwychwstania.

R. I. P. *X. St. D.*

W Redakcji „Roczników“ są do nabycia, póki zapas starczy:

1) **Konferencje i przestrogi św. Wincentego.** (Tłómaczenie z francuskiego). Kraków 1909.

2) **Wyjątki z okólników Przełożonych Generalnych,** odnoszące się do najważniejszych obowiązków Księży Misjonarzy (Tłómaczenie z francuskiego). Kraków 1909.

3) **Rozmyślania Zgromadzenia Księży Misjonarzy.** Dwa tomy. (Tłómaczenie z francuskiego). Kraków 1912.

4) **Historja Zgromadzenia Księży Misjonarzy w Polsce.** (Pierwszych lat dziesięć od r. 1651 — 1660). Napisał ks. Dr. Wojciech Wdowicki, kapłan Zgromadzenia Misjonarzy. Kraków 1902.

5) **Kilka szczegółów historycznych o Seminarjum Internum** opowiedzianych z okazji jubileuszu, obchodzonego dnia 17 sierpnia 1907 r. Kraków 1907.

6) **Kościół Księży Misjonarzy pod wezwaniem św. Wincentego a Paulo w Krakowie, na Kleparzu.** Kraków 1913.

7) **Ks. Józef Kiedrowski,** Wizytator Zgromadzenia Księży Misjonarzy. Napisał ks. Cz. Lewandowski. Kraków 1921

8) **Ks. Stanisław Grabowski,** artysta - malarz. Napisał ks. M. Wroński. Kraków 1921.

9) **Spis Domów i Osób prow. Polsk.** (z dnia 1 grudnia 1921).

(Numery od 4 do 9 są odbitkami z „Roczników“).